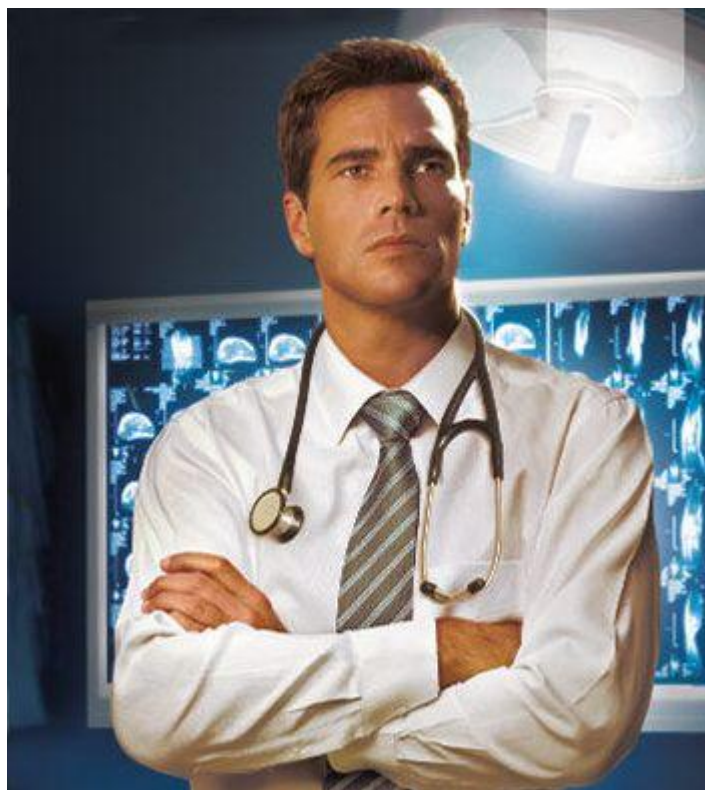




DIANNE DRAKE

## DYLEMAT DOKTORA ANDERSONA

Tytuł oryginału: The Baby Who Stole the Doctor's Heart



## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Doktor Mark Anderson raz jeszcze spojrział na podanie, które trzymał w ręce, odłożył je na bok, zdjął okulary.

- Nie będzie łatwo - westchnął. - Lubię ją, ale nie mogę jej przyjąć. Nie spełnia kryteriów, a w porównaniu z innymi kandydatami ma bardzo skromny dorobek.

Doktorzy Neil Ranard i Eric Ramsey wymienili spojrzenia, w których aproba ta mieszała się z rozczarowaniem.

- Jasne, że jest nam przykro, ale rozumiemy, że ostatnie słowo należy do ciebie.

- Eric, ona jest twoją szwagierką, a zarazem serdeczną przyjaciółką żony Neila. Czuję ogromną presję - wyjaśnił Mark.

Pracę w White Elk odbierał jako przymus, trzymanie się zawodu lekarza w ogóle odbierał jako przymus. Wszystko robił pod przymusem i wciąż liczył czas do pożegnania się z medycyną, przeszłością, znajomymi. Ze wszystkim! Zostało jeszcze półtora roku.

Na razie jednak jest tutaj, więc musi się starać, choćby tylko dlatego, że ma wobec Erica i Neila dług wdzięczności. Więc gdy go poprosili o pomoc w zorganizowaniu szkolenia wysoko wykwalifikowanych ratowników medycznych, uznał, że nadarza się szansa rewanżu. Potem niczego więcej się nie podejmie. Eric wzruszył ramionami.

- Wcale nie naciskamy. Angela jest świetną dietetyczką. Jest zaangażowana w program dla dzieci z cukrzycą. Zdajemy sobie sprawę, że nie ma tych kwalifikacji, na których zależy ci najbardziej. Ale ona chce się uczyć, skoro jednak uważasz, że się nie nadaje, to jasne, odrzuć jej podanie.

- Hm, taka decyzja wcale mnie nie cieszy, ale nie chcę mieć na karku kogoś, kto będzie opóźniał cały kurs.

- Nie chcesz jej mieć na karku? - zdziwił się Neil. - Nie uważam, żeby przebywanie z Angellą było jakimkolwiek obciążeniem.

Mark westchnął. To prawda, Angela jest śliczna. Filigranowa jak skrzacik brunetka o ciemnych oczach. Promienieje optymizmem. Słodka i pociągająca tak, że chciałoby się ją pocałować. Ale jemu to już nie w głowie.

- Chyba rozumiecie, o co mi chodzi.

- Nie zazdroszczę ci misji poinformowania jej, że odrzuciłeś jej kandydaturę - powiedział Neil, wstając.

- Też sobie tego nie zazdroszczę - mruknął.

Nie lubił takich sytuacji i starannie ich unikał, ale tym razem nie miał wyjścia. Na tym kursie nie ma miejsca dla Angeli. Dostał półtora roku na osiągnięcie celu, na który praktycznie potrzeba dwóch lat, więc Angela spowalniałaby ten proces. Ma związane ręce, mimo że sam je sobie związał.

- Przyjechałem do White Elk, żeby uczyć i szkolić, a nie zajmować się biurokracją.

Eric się uśmiechnął.

- Zapewniam cię, że Angela to coś więcej niż biurokracja. - Po tych słowach obaj lekarze wyszli z gabinetu, a on zaczął się zastanawiać, po jakie licho wdał się w ten kurs i dlaczego nie posłuchał intuicji i nie wyjechał od razu.

Nie doszedł do żadnych wniosków, ale też z obawy przed nimi nie bardzo się starał. Dokonał wyboru, podjął decyzję i się z tego nie wycofa. Tak, na półtora roku zmienił kierunek, ale potem...

Mimo że fotografia Sarah nie była dominującym akcentem na jej biurku, Angela spoglądała na nią często, nawet kilkanaście razy w ciągu godziny. Nikt ani nic tak nie przepelniało jej serca miłością jak córeczka. Zdjęcie z pierwszych urodzin Sarah budziło wspomnienia minionych burzliwych miesięcy: odkrycie, że jest w ciąży, odkrycie, że jej mąż nie chce dziecka ani żony, odkrycie na telewizyjnym kanale informacyjnym jego licznych romansów. Mimo to dzięki Sarah był to dobry czas.

- Doskonale dajemy sobie radę - zwróciła się do fotografii, po czym skoncentrowała się na programie żywieniowym dla Scotty'ego Baxtera.

Scotty miał siedem lat i cukrzycę niewyrównaną. Martwiła się o niego, tym bardziej że nie dostawał koniecznego wsparcia. Matka nagradzała go smakołykami, nigdy niczego mu nie odmawiała, a on stale domagał się słodczy i nieodpowiedniego jedzenia. Pani Helen Baxter kochała synka tak mocno jak Angela Sarah, ale przejawiało się to przesadną pobłażliwością, żeby dziecku zrekompenzować brak ojca. Angela dobrze ją rozumiała, czasami nawet dostrzegała to u siebie.

Pozwalała Sarah na różne rzeczy, bo ojciec ją porzucił, ale jej czasami nadmierna wyrozumiałość nie wyrządzała dziecku krzywdy. W przypadku pani Baxter było inaczej.

Angela była zła, że nie potrafiła przebić się do Scotty'ego ani do jego matki. Miała cichą nadzieję, że sytuacja się odmieni, gdy Scotty pojedzie na organizowany przez nią obóz dla dzieci z cukrzycą. Jeszcze tylko jedna przeszkoda, przedstawienie ostatecznego planu zarządowi szpitala, i będzie mogła zacząć działać.

Teraz musi się skupić na diecie Scotty'ego.

- Do roboty - mruknęła.

Ledwie otworzyła w komputerze tabelę indeksów gli-kemicznych, gdy ktoś zapukał do drzwi.

- Można? - spytał Mark, zaglądając do środka. Ogarnął ją niepokój, bo sobie przypomniała, że się

zgłosiła do jego programu. Bardzo jej na tym zależało, bo marzyła, by pójść w ślady siostry oraz wielu koleżanek. Żeby... wszystkim pokazać, co potrafi.

- Jasne, zapraszam.

Mark Anderson. Boski Mark Anderson. Na jego widok mogłoby jej zdrześć serce, gdyby miała do tego głowę. Ale nie miała, mimo że powoli zapominała o przykrościach związanych z rozwodem. Prawdę mówiąc, mężczyźni jej nie interesują i nie ma ochoty się z nimi umawiać.

Teraz jest czas na samorealizację, na robienie tego, na co nie pozwalał jej Brad, na wzięcie losu w swoje ręce. Poza tym jest Sarah. Dopiero teraz poczuła, że żyje. Ma też świadomość, że obrała właściwą drogę. Więc nie pozwoli, by doktor Mark Anderson zburzył jej wewnętrzny spokój, chociaż może kiedy indziej...

Rzadko miała z nim bezpośredni kontakt, ale gdy ratował ją i Sarah z pociągu, na który zeszła lawina, traktował ją z wielką rezerwą, był wręcz gburowaty. Nie miała pojęcia dlaczego, ale nie zamierzała dociekać. Z drugiej strony, jej los jest teraz w jego rękach, a jej bardzo zależy na tym szkoleniu.

- Jaka zapadła decyzja? - wyrwało się jej, nim doszedł do jej biurka.

- Nie.

- Nie? - Zaskoczona aż zamrugwała. - Powiedział pan „nie”?

- Tak jest.

- Czy to znaczy, że nie przyjmie mnie pan na ten kurs?

- To znaczy, że poszukuję ludzi z większymi kwalifikacjami. Przykro mi, ale nie spełnia pani kryteriów.

Chyba wcale nie było mu przykro. Sprawiał wrażenie obojętnego.

- Nie liczy się mój dyplom z dietetyki? Ani to, że prowadzę w szpitalu program dla dzieciaków z cukrzycą? Czy choćby to, że jeżdżę na nartach lepiej od niejednego instruktora?!

- To bardzo przydatne umiejętności. Wcale nie umniejszam pani zasług, ale nie ma pani kwalifikacji medycznych, a to jest podstawowy warunek. Kandydaci muszą mieć minimum kwalifikacji medycznych, a pani ich nie ma - powtórzył. - Czytałem pani podanie dwa razy, zastanawiając się, jak można by obejść wymagania stawiane innym. Ale to niemożliwe, bo gdybym zrobił wyjątek dla pani, musiałbym zrobić wyjątek dla kogoś innego, a przez to cały program by się... rozmył.

- Rozmyłby się? - Wstała od biurka. - Uważa pan, że by się rozmył przeze mnie?

- Może to nie najlepsze, słowo - przyznał - ale oddaje moją myśl. Wiem, czego oczekuję od studentów, a pani tego nie ma. Przykro mi, ale moja decyzja jest ostateczna. Poza tym nie bardzo rozumiem, po co pani jeszcze ten program, skoro jest pani zaangażowana w tyle innych. Chyba się pani za bardzo rozdrabnia.

Odetchnęła głębiej, żeby się nie dać ponieść. To nie jego sprawa! Nie znał Brada, nie widział, jak Brad ją gasił za każdym razem, kiedy chciała wyjść z domu i zająć się czymś konkretnym. Nie było Marka Andersona tamtego dnia, kiedy znaleźli narciarza, który wpadł na drzewo i praktycznie umierał na ich oczach.

Usiłowała go ratować, a Brad ją wyśmiał i powiedział, że ona potrafi co najwyżej wezwać patrol. Była młoda i wystraszona, więc mu uwierzyła, ale została przy tym człowieku, pilnując, by nie stracił przytomności i żeby z nim rozmawiać. Brad wezwał pomoc. Niestety mężczyzna zmarł w drodze do szpitala, a ona długo się zastanawiała, czy mogła dla niego zrobić więcej.

Nie, Andersonowi nic do tego. Ani do tego, że Sarah odmieniła jej życie. To dla Sarah musi się szkolić, zdobywać wiedzę. I dla Sarah nie wolno jej mieć wątpliwości, więc nie będzie się sprzeczać z tym człowiekiem. Jeśli chce się dostać na to szkolenie, musi rozmawiać z nim spokojnie i rzeczowo.

- Nie sądzi pan, że ciężką pracą mogę nadrobić to, co nazywa pan brakami? Bo będę pracować i uczyć się pilniej niż ktokolwiek inny w grupie.

- Nie wątpię. Ale pierwszego dnia pani jako jedyna nie będzie znała podstaw. Na przykład tego, jak sprawdzić parametry życiowe, jak ocenić zwięźnięcie źrenic albo czy już należy podać kroplówkę. Szkoda mojego cennego czasu na uczenie pani pomiaru ciśnienia, bo wszyscy inni będą już z tym zaznajomieni. - Zacisnął zęby. - Moim celem jest przekazywanie im wiedzy na wysokim poziomie, a pani nie jest do tego gotowa.

Zgoda, ma rację, ona nie zna podstaw. Na razie. Nie zna ich, ale może je poznać. W krótkim czasie.

- Każdy kiedyś musi zacząć - zauważyła. - Nawet pan, nic nie umiejąc, poszedł na medycynę.

- Na zajęcia przeznaczone dla początkujących, a mój kurs jest dla zaawansowanych. Powtórzę jeszcze raz, że bardzo mi przykro. Wierzę, że pani obóz dla diabetyków przyniesie wspaniałe rezultaty i szczerze tego pani życzę. Poza tym, kto wie? Za półtora roku stąd wyjadę, więc może mój następca ustali inne kryteria. - Uśmiechnął się, po czym ruszył do drzwi.

Postanowiła nie dawać za wygraną. Zastąpiła mu drogę, niemal rzucając mu się pod nogi. Musi wejść do tego programu! Nie pozwoli się odtrącić tak łatwo, jak dawała się odsuwać byłemu małżonkowi. .

- Proszę mi powiedzieć, co mam zrobić, żeby zmienił pan decyzję.

Uniósł wysoko brwi.

- Co z tego, co powiedziałem, jest dla pani niezrozumiałe?

- Doskonale wiem, co oznacza odrzucenie, ale bardzo mi na tym kursie zależy. Na pewno jest coś, co mogłabym zrobić, żeby się na niego dostać. Przejść jakieś dodatkowe szkolenie, coś przeczytać, zdać egzamin... Mogę liczyć na pomoc siostry.

Spojrzał jej głęboko w oczy.

- Podziwiam pani upór i mam nadzieję, że moi studenci będą tak samo uparci. Zajęcia zaczynają się za miesiąc, a pani braków nie da się nadrobić w tak krótkim czasie. Moja decyzja jest ostateczna. Przepraszam, ale teraz muszę już iść... - Położył rękę na klawiszach, ale na moment się zawahał, jakby w oczekiwaniu na następne pytanie.

- Czy ktokolwiek może mi zakazać przysłuchiwania się wykładom? - zapytała bez tchu.

- Przysłuchiwania?

- No tak, robienia notatek i uczenia się tego co inni. - Wprawdzie nie da to jej wymarzonego zaświadczenia, ale jeśli jego następcą okaże się równie pryncypialny, będzie przygotowana. Skoro musi poczekać półtora roku, to poczeka. Nie ma pośpiechu. Ma mnóstwo czasu. - Zabroni mi pan tego?

- Nie wydam zaświadczenia.



- Wiem.

- Nie będzie pani mogła brać czynnego udziału w zajęciach, to znaczy podnosić ręki, zadawać pytań ani uczestniczyć w dyskusjach.

- Domyślam się.

- Nie będzie pani brać udziału w zajęciach w terenie ani trenować z naszym sprzętem.

- Okej.

- Pani praca ani postępy nie będą poddawane ocenie.

- Rozumiem. - To nie to, czego oczekiwała, ale skoro nie można inaczej...

- No cóż, jeśli nie szkoda pani na to czasu, to nie mam nic przeciwko temu, żeby przysłuchiwała się pani wykładom.

Nie było to oszałamiające zwycięstwo, ale jednak pewien sukces. Drobnym krokiem do celu.

- Dziękuję. - Zeszła mu z drogi. - Jestem wdzięczna, że mi pan pozwolił.

- Ja nic nie zrobiłem. Absolutnie nic. Możliwe, ale przynajmniej nie udaremnił jej planu.

To lepsze niż nic.

- Jaka ona śliczna - rozczuliła się Angela, sadowiac się na krześle przy łóżku przyjaciółki. - Aż mi się zachciało drugiego dziecka.

- Chcesz mi coś powiedzieć? - zapytała Gabby Rarnard, przytulając noworodka i promieniejąc szczęściem.

- Nie mam nikogo i nie zamierzam z nikim się zadawać. Chwilowo nie lubię facetów. - Wzięła od Gabby nowo narodzoną córeczkę Mary. - Zwłaszcza niektórych.

- No, to brzmi groźnie. Kogo masz na myśli?

- Niejakiego Marka Andersona. Zanim zaczniesz go bronić, bo to najlepszy przyjaciel twojego męża, ostrzegam, że twoje słowa trafią w próżnię. Nie przyjął mnie na szkolenie, więc go nie lubię, nie chcę lubić i nie zamierzam go polubić. - Mówiła półgłosem, by nie obudzić maleńkiej Mary. - Włożyć ją do łóżeczka?

Podniosła się, nim Gabby zdążyła odpowiedzieć.

- Tak, pod warunkiem, że o wszystkim mi opowiesz. Nie obudź jej, bo chcę cię wysłuchać do końca.

Angela okryła malucha kołderką, po czym pocałowała go w czoło. Mimo że jej Sarah była ledwie rok starsza od Mary, Angela z rozrzewnieniem wspominała jej niemowlęctwo. Już wkrótce Sarah przestanie być małym dzieckiem, a ona, Angela, za sprawą swojej siostry Dinah i być może powtórnie za sprawą Gabby będzie skazana na takie ataki tęsknoty za własnym maleństwem.

Tak będzie. Przybywa jej lat i zanim osiągnie w życiu to, na czym jej zależy, może się okazać, że jest za stara na drugie dziecko. Jeśli dotarcie do tego etapu zajmie jej tyle czasu jak do aktualnego, to Sarah będzie już w liceum. Albo nawet sama już będzie miała dziecko.

- Opowiadaj - ponaglała ją Gabby.

- Nie bardzo jest o czym. Myślałam, że mnie przyjmie, bo pracuję teraz w szpitalu. - Dwa miesiące wcześniej była kierowniczką jednego z hoteli w górach, ale godziny pracy kolidowały z opieką nad Sarah, a Eric i Neil gorąco ją namawiali, by przeniosła się do szpitala i poprowadziła program dla młodych cukrzyków.

To był bardzo szczęśliwy ruch, bo dzięki temu zmienił się jej stosunek do świata oraz tego, co chce osiągnąć. Tak, nadszedł czas zrobić coś wartościowego, nadrobić lata stracone z Bradem.

- Sama wiesz, że na nartach jestem nie do pokonania. Myślałam, że wędrowanie po Europie, od zbrocza do zbrocza, coś zmieni. Ale nic z tego. Anderson mnie nie zakwalifikował, bo nie mam tego, na czym mu zależy.

- A na czym mu zależy?

- Na mierzeniu ciśnienia. Jestem dyplomowaną dietetyczką, ale nie umiem użyć ciśnieniomierza.

- Sfigmomanometru - wtrąciła Gabby.

- Co takiego?

- Sfigmomanometr. To poprawna nazwa ciśnieniomierza.

- Sama widzisz, że się na tym nie znam. I to mnie dyskwalifikuje.

- Pomimo rekomendacji Neila i Erica?

- Jak widać.

- Tak mi przykro - westchnęła Gabby. - Nie bardzo słuchałam, co Neil opowiadał o tym kursie, ale dziecko i w ogóle...

Angela uciszyła ją gestem.

- Niechętnie to przyznam, ale Anderson zapewne ma rację. Nie chciałabym, żeby moje braki hamowały postępy całej grupy. Ale mam pewien plan.

Gabby parsknęła śmiechem.

- Mam udawać, że mnie to dziwi?

Gabrielle Evans Ranard była najlepszą przyjaciółką Angeli, poza Dinah, ale Dinah się nie liczy, bo jest jej siostrą. Gdy Gabby sprowadziła się do White Elk, była zagubiona jak Angela teraz, ale tutaj znalazła wszystko: nowe życie, nową miłość, szczęście. To znak, że to wszystko jest blisko, na wyciągnięcie ręki. Na początek ma Sarah. To bardzo dobry początek.

- Nie musisz, bo już widziałaś moją listę.

- Bardzo długą.

- Okej, może trochę za długą. Anderson zrobił do tego aluzję, ale ja wiem, co to znaczy żyć bez żadnego celu. Od nadmiaru głowa nie boli.

- Skupiając się na realizacji zbyt wielu celów, można przeoczyć coś innego - zauważyła Gabby.

- Co ja mogę przeoczyć?

- Znasz powiedzenie, że warto się zatrzymać, żeby powąchać róże? Osobiście uważam, że przyjemnie jest od czasu do czasu wejść w kontakt węchowy z dobrą wodą po goleniu.

- Chyba nie masz na myśli...?

Gabby wzruszyła ramionami, ale powstrzymała się od komentarza.

- Jak chcesz wiedzieć, to on nie używa wody po goleniu. Pachnie mydłem. A ja chcę wąchać wyłącznie zapach sosen, jak dostanę wezwanie na akcję ratunkową. W związku z tym będę wolnym słuchaczem. Będę siedziała w ostatnim rzędzie, żeby nie czuć zapachu mydła, i się uczyła, żeby mnie przyjęli na następny kurs. Kiedy już nie on będzie wykładowcą.

- Mówisz, że pachnie mydłem? - zainteresowała się Gabby. - Jak blisko stałaś?

Angela pokręciła głową.

- Czy ty w ogóle mnie słuchasz?!

- Tak, ale się zdekoncentrowałam. Jesteś taka... taka ożywiona. Pierwszy raz widzę u ciebie taką reakcję na faceta. Pomyślałam...

Angela nie pozwoliła jej skończyć.

- On jest gburowaty, zamknięty w sobie i nieprzychylny. Która z tych cech twoim zdaniem mogłaby mi się spodobać?

- Hm, ma za sobą trudny czas.

- A my nie? Ty urodziłaś dwoje dzieci i przeżyłaś zasypanie przez lawinę, a ja urodziłam jedno dziecko, miałam niewiernego męża i wyszłam z tej samej lawiny. To też było trudne, ale nie jesteśmy gburowate.

- No nie, mam Neila, Bryce'a i Mary, a ty masz Sarah. Warto było przez to przejść, żeby tyle osiągnąć. Angela, my naprawdę mamy bardzo dużo. Los jest dla nas bardzo łaskawy. Ale Mark...

- Tak, słuszna uwaga - szepnęła Angela, myślami wracając do Sarah. - Mamy wszystko, prawda?

- Neil i Eric ściągnęli go do White Elk, bo stracił wszystko.

- Kto? Mark? Gabby przytaknęła.

- Nie jestem upoważniona o tym mówić, ale wiedz, że nasze doświadczenia w porównaniu z tym, przez co on przeszedł, to kaszka z mleczkiem. Wyszedł z tego kompletnie osamotniony. Chyba ma prawo być ponury...

- Dobrze, nie będę go nienawidzić, ale to jeszcze nie znaczy, że muszę go lubić.

- Traktuj go jak środek do osiągnięcia celu. Chodź na jego zajęcia i się ucz, ile się da, bo wiem od Neila, że jest znakomitym specjalistą medycyny ratunkowej, a za półtora roku poproś go o rekomendację przy naborze na drugi kurs. - Gabby się uśmiechnęła. - Kto wie? Może na to przystanie? A ty może polubisz zapach mydła.

Zapach jego mydła? Nigdy w życiu! Ale może Mark ją zarekomenduje. Albo ona pod koniec kursu mu pokaże, że jest tak samo dobra jak reszta kursantów, więc będzie musiał odszczekać to, co jej powiedział. Perspektywa tak piękna, że już miała ochotę biec do biblioteki siostry, by zasiąść do lektury literatury medycznej.

- Przyniosłam ci sałatkę owocową. Zostawiłam ją w kuchni. Masz ochotę?

- Z truskawkami?

- Z mnóstwem truskawek.

Po drodze do kuchni zajrzała do biblioteki Gabby i Neila. Stały tam dziesiątki podręczników medycyny. Było ich tyle, że do końca życia nie zdążyłaby ich przeczytać i zrozumieć, ale na jednej z półek dostrzegła zniszczony słownik terminów medycznych. Słowa... słowa związane z medycyną oraz ich znaczenia.

Od tego zacznij. Drżącą ręką sięgnęła po książkę. Zapyta Gabby, czy może ją pożyczyć.

- Tak, Sarah, od tego zacniemy - szepnęła. - Słowo po słowie.

Z pomocą albo bez pomocy Marka Andersona.

## ROZDZIAŁ DRUGI

- *Stat*, od łacińskiego *statim*, czyli natychmiast - rzuciła, gdy Mark mijał ją na korytarzu.

Zatrzymał się i odwrócił w jej stronę.

- Co takiego?

- Powiedziała *stat*, od łacińskiego *statim*, czyli...

- Wiem, co to znaczy. Ale zastanawia mnie, dlaczego musiała mnie pani poinformować, że wie pani, co to znaczy.

Uniosła brwi, a jego uwadze nie umknęła ich piękna linia oraz ciemne oczy, w które patrzył aż pięć sekund. Gdy się na tym przyłapał, zamrugał, by ochłonać. Skąd takie idiotyczne myśli?!

- Bez konkretnego powodu - usłyszał. Powiedzmy, że to prawda. Najwyraźniej uparła się chodzić na jego zajęcia. Mógłby się założyć o swoje tygodniowe

wynagrodzenie, że ta kobieta uczy się na pamięć słownika terminów medycznych albo czegoś równie dziwnego.

- Nie wierzę, że potrafi pani cokolwiek robić bez powodu.

- Proszę do mnie mówić Angela. W nadchodzących miesiącach będziemy się widywali bardzo często, więc chyba takie ceregiele byłyby przesadą.

- Naprawdę zamierzasz chodzić na ten kurs?

Z Angeli Blanchard emanuje upór. Wystarczy na nią popatrzeć. Widać od razu, że żadna siła nie jest w stanie jej powstrzymać.

- Naprawdę chcesz przez osiemnaście miesięcy siedzieć na moich zajęciach, nie mając z tego żadnych korzyści?

Roześmiała się.

- Mark, to zależy, co się rozumie przez korzyści. Gdy wymówiła jego imię, przeszył go dreszcz. Jak

ładnie to powiedziała. Czuł, że wpatruje się w jej wargi, jak wcześniej wpatrywał się w jej oczy. Co go tak w niej pociąga? Ona nie jest w jego typie. On lubi wysokie szczupłe blondynki, a Angela jest niska, krągła tu i tam... Lepiej o tym nie myśleć.

Tak się dzieje po roku bez kobiety, pomyślał. Sam narzucił sobie abstynencję. Teraz poczuł się nieswojo, poczuł, że to, co w nim tak zareagowało, nie jest aż tak uśpione, jak myślał. Był szczęśliwszy, gdy żył w przeświadczeniu, że ono śpi.

Ale poradzi sobie z tym sprawdzoną ostatnimi czasy metodą: obojętnością. Doprowadził ją do perfekcji.



- Korzyścią ma być podpisane przeze mnie zaświadczenie ukończenia kursu, umożliwiające jego uczestnikom członkostwo w zespole ratownictwa górskiego, a nawet samodzielne koordynowanie akcji ratunkowych. Ale ty go nie otrzymasz.

- Ty tak zdecydowałeś, nie ja.

- No, nareszcie się w czymś zgadzamy.

- O nie, wcale się nie zgadzamy. Ale to się zmieni.

- Bo zaakceptujesz mój punkt widzenia? Pokręciła głową.

- Osiem lat goniłam po Europie za mężczyzną, który jak ty uważał, że zmadrzeję i zacznę myśleć jak on. A ja, durna, w końcu się poddałam. Zapewniam cię, że nigdy więcej to się nie powtórzy. Teraz myślę samodzielnie i robię, co uważam za dobre dla mojego dziecka. - Uśmiechnęła się słodko, lekko marszcząc nos. - I dobrze mi to idzie. Lepiej, niż sobie wyobrażałam.

Ale wyszczekana. Zaimponowała mu. Wbrew sobie poczuł, że podoba mu się ta Angela Blanchard. Nie jest przewidywalna jak inne kobiety, które kiedyś znał, ale mimo że teraz nie ma ochoty na bliższe znajomości, to ku swojemu zdumieniu jej wojowniczość go ujęła. Już dawno nikt mu się tak nie postawił. I sprawiło mu to dużą przyjemność. Nagle poczuł, że znowu żyje.

- Jesteś gotowa poświęcić półtora roku i nie osiągnąć celu? To ma być twoje samodzielne myślenie? Marnowanie czasu?

- Poświęcę ten czas na naukę, a na to nie szkoda czasu. Co będzie potem? Zobaczymy. - Wręczyła mu plik kartek. - Przeczytaj to sobie. Organizuję obóz dla dzieci z cukrzycą sponsorowany przez ten szpital. Jestem na ostatnim etapie planowania i liczę na poparcie kolegów, kiedy będę prezentowała finalną wersję Neilowi i Erikowi. Będę wdzięczna, gdybyś zechciał się wypowiedzieć, oczywiście pochlebnie. Prezentacja jutro po południu. Za dwa tygodnie poprowadzę obóz próbny z udziałem kilkorga dzieci, żeby zobaczyć, co się sprawdza, a co

nie. Program został warunkowo zaakceptowany już kilka tygodni temu, więc wszystko jest przygotowane. Brakuje mi jeszcze tylko ostatecznej zgody szpitala na obóz próbny, więc przydałaby się twoja pozytywna opinia.

Uśmiechnął się, a dawno mu się to nie przydarzyło.

- Zakładasz, że cię poprę?

- Przeczytaj tę informację. Taki obóz ma sens, bo jego celem jest nauczenie dzieci odpowiedzialności za swoje zdrowie i swój wybór. Przekazanie im większej wiedzy o ich chorobie, niż ma otoczenie. Jak to przeczytasz, na pewno mnie poprzecz - oznajmiła z szelmowskim błyskiem w oku, po czym dodała, zniższy głos: - Jeśli jesteś takim dobrym lekarzem, jak wszyscy twierdzą.

Aha, znowu ta poza.

- Przeczytam, jak znajdę czas. Niczego nie obiecuję.

- W porządku. - Poszła w swoją stronę. Nie pożegnała się, nie polemizowała, a on patrzył za nią jak zauroczony. Gdy zniknęła za zakrętem korytarza, poczuł się niemal zawiedziony, że nie rzuciła mu nowego wyzwania.

- Zobaczyłeś coś interesującego? - zagadnął Eric Ramsey, który nadszedł z przeciwnej strony.

- Może nie tak interesującego, jak niezwykłego.

- Ha, Angela to siła, z którą należy się liczyć. Ożeniłem się z jej siostrą. W tej kwestii niczym się nie różnią. Ale jak już człowiek wpadnie...

- Nie wpadłem i nie wpadnę.

- Całe szczęście, bo Angela żyje według listy, a mężczyzn na niej nie ma.

- Jakiej listy?

- Listy celów, które musi osiągnąć. Kiedy prowadziła hotel, dyrygowała kuchnią z taką samą precyzją. I dlatego ją tu ściągnęliśmy na stanowisko kierownika naszego oddziału dietetyki. Jej życie wyznaczają listy, a ona sztywno się ich trzyma. Nigdy nie zbacza z toru.

Czy to efekt podążania latami za jakimś dupkiem po całej Europie? Angełę, która żyje, kierując się listą, bez trudu potrafił sobie wyobrazić, ale wyobraźnia go zawodziła w przypadku beztroskiej Angeli wędrującej za kochanym mężczyzną. To go zaintrygowało.

- Każdy czasem zbacza z toru - mruknął pod nosem. - Prędzej czy później.

Eric poklepał go po ramieniu, po czym wszedł do sali numer trzy. Markowi przypadł pierwszy pacjent z listy. Ból brzucha. Kurczę, zdecydowanie bardziej wolałby robić co innego, niż w izbie przyjęć zajmować się niedyspozycją żołądkową.

- Męczący dzień?

Już dawno powinien był zejść z dyżuru, gdy nareszcie usiadł w drugim końcu pokoju dla personelu. Wybrał to miejsce nie dlatego, że chciał znaleźć się blisko Angeli, ale dlatego, że zamierzał wyciągnąć nogi. Poza tym z tej odległości i bez okularów nie widział jej oczu, a to by go rozpraszało.

- Przyzwyczaiałam się. W hotelu, w kuchni, miałam pod sobą dwadzieścia trzy osoby, nie licząc reszty obsługi, a mimo to miałam wrażenie, że tylko ja pracuję po osiemnaście godzin przez siedem dni w tygodniu. Dopóki nie urodziłam Sarah. Wtedy to się zmieniło. Z mojego punktu widzenia, ale nie z punktu widzenia hotelu, który oczekiwał ode mnie tych samych godzin. Na szczęście mój zastępca z radością przejął moje obowiązki.

- Brakuje ci tego?

- Trochę. W szpitalu mam zupełnie inne obowiązki, dużo administracji, planowania, koordynacja indywidualnych planów żywieniowych, konsultacje. Nie mam okazji gotować, a ja to kocham. Za to tutaj moja praca jest... ważna. Ale mam koleżankę, która prowadzi restaurację i pozwala mi tam gotować, ilekroć najdzie mnie ochota. Catie Lawrence z „Catie's Overlook”. Znasz to miejsce?

- Catie to moja dobra znajoma. Codziennie jem u niej śniadanie, a czasami kolację. Przyjemny lokal. - Czytaj: miejsce, gdzie można spędzić czas w samotności. Miał tam stolik z boku, nie musiał patrzeć na ludzi ani się z nimi zaprzyjaźniać. To mu odpowiadało, bo nie przyjechał do White Elk, żeby nawiązywać znajomości, a tutaj wszyscy byli tego spragnieni.

- W White Elk jest mnóstwo przyjemnych lokali, ale zaletą restauracji Catie jest to, że kiedy ja gotuję, ona opiekuje się Sarah. Urządziła swoje biuro tak, żeby mogła tam przebywać Sarah albo dzieci Gabby Ranard.

- Od dawna jesteś samotną matką? - Znał odpowiedź, ale to pytanie wydało mu się logicznym kolejnym krokiem w rozmowie.

- Zostawił mnie, kiedy dowiedział się o ciąży. Ale doskonale sobie bez niego radzimy. Nie planowałam tego, ale los płata nam figle. Kiedy wszystko się zawali, zaczynamy od nowa. Mnie i Sarah odpowiada ta sytuacja. W tym miasteczku dostaję wsparcie ze wszystkich stron. Masz dzieci?

- Nie - odpowiedział. - Nieudane małżeństwo, bez dzieci. - I brak chęci kontynuowania tego tematu. Oparł głowę na zagłówek, zamknął oczy, splótł ramiona na piersi. Żeby zamknąć rozmowę, nie ma nic lepszego niż odpowiedni język ciała.

- Nie jesteś zbyt subtelny.

- W jakiej kwestii? - Głupio zrobił, że zapytał, bo to przedłuży pogawędkę. Zwłaszcza z Angellą, która zmusza go do myślenia, sprawia, że on niebezpiecznie się zbliża do marzenia o czymś, na co nie może sobie pozwolić.

- W kwestii tego, o czym nie chcesz rozmawiać, ale to ty poruszyłeś ten wątek.

Nie otworzył oczu, nie rozplótł ramion.

- Ja?

- Zapytałeś, od kiedy jestem samotną matką. Więc ja zapytałam ciebie, czy masz dzieci. To jest całkiem naturalna kontynuacja. Jak nie masz ochoty o czymś rozmawiać, to lepiej nie zaczynaj tego tematu.

Psiakrew, ale żyłeta! Da mu popalić, jak nie będzie ostrożny.

- Staralem się podtrzymać rozmowę, nic poza tym. Zadałem pytanie, które pierwsze przyszło mi do głowy. - Kłamstwo. Tego dnia w jego głowie zrodziło się mnóstwo pytań dotyczących Angeli. O sprawy, które w ogóle nie powinny go interesować, a mimo to nie dawały mu spokoju. - Chciałem być uprzejmy.

- Najwyraźniej nasze definicje swobodnej konwersacji bardzo się różnią, bo ja uważam, że nie wolno zamykać rozmowy, tak ostentacyjnie się z niej wyłączając.

- Mogłoby tak być, gdybym był partnerem do rozmowy, a nie jestem. Jestem lekarzem, który tu przyszedł odetchnąć i odpocząć. Któremu nie należy przeszkadzać.

- Ale...

- Któremu nie należy przeszkadzać.

- Chciałam tylko powiedzieć...

- Nie przeszkadzać - powtórzył, nie otwierając oczu, ani nie zmieniając pozycji. - Od łacińskiego *disturbare*, czyli mącić spokój. Mój spokój.

Zamiast się obrazić, parsknęła śmiechem, podnosząc się z fotela.

- Posłuchaj, Sarah dzisiaj nocuje u swoich kuzynek, bo kończę dyżur później, niż ona idzie spać. Prosto ze szpitala wpadnę do knajpki Catie, żeby udoskonalić chilijski przepis na okonia morskiego *à la puttanesca* z młodymi ziemniakami, bo Catie chce go włączyć do swojego menu. Zajmie mi to ze dwie godziny. - Wzruszyła ramionami. - Więc gdybyś po pracy poczuł, że już można mieć twój spokój, mógłbyś zajść do Catie i zjeść ze mną kolację. Ja stawiam. Właściwie to będziesz jadł sam danie przygotowane moimi rękami. Sądzę, że by ci to odpowiadało, bo nikt nie będzie ci przeszkadzał.

- Zapraszasz mnie na kolację? - spytał z zamiarem wykręcenia się.

- Nie na kolację we dwoje, nie. Ty będziesz głodny, a ja będę miała coś do jedzenia, więc cię nakarmię. Zapraszam. Wiem z doświadczenia, że po moim okoniu morskim gburowatość przechodzi każdemu.

Otworzył oczy, by odpowiedzieć i odmówić jej w taki sposób, żeby wreszcie dała mu święty spokój, ale już wyszła. Bardzo dobrze. Bo nie miał ochoty na kontakty z Angela Blanchard, bo każdy taki kontakt nieodmiennie kazał mu... myśleć.

- Psiakrew - mruknął, opuszczając powieki, ale natychmiast je uniósł, gdy przed oczami stanął mu pierwszy obraz... - Psiakrew.

- Oblęd - prychnęła, wręczając Dinah torbę z pieluchami, podczas gdy Sarah energicznie wyrywała się jej z objęć do bliźniaczek, Philippy i Paige, które stojąc obok matki, skakały z radości. Miały po sześć lat i rozpierała je energia. - On nawet nie jest dla mnie miły, a ja co robię? Zapraszam go na kolację do Catie.

- Gotujesz dzisiaj? - zapytała Dinah.

- Później, po pracy. Chcę dostosować przepis do jej menu.

- Nie usiądziecie przy jednym stole?

- Trudno nam wytrzymać w tym samym pomieszczeniu, więc wątpię, czy wysiedzielibyśmy przy tym samym stole. Nawet nie będziemy w tej samej części restauracji. On będzie w sali, ja w kuchni, a między nami ściany oraz drzwi. Piękny początek burzliwego romansu. - Rozbawiona wręczyła bliźniaczkom worek z zabawkami Sarah. - Jesteś pewna, że mogę ci ją zostawić? Bo mogę ją zabrać ze sobą. Catie za nią przepada.

- Ciociu, nie! - wrzasnęły bliźniaczki.

- Dziewczynki wypatrują Sarah od samego rana. Chcą się z nią bawić. Planują z jej łóżeczka zrobić pałac królowy. Poza tym, prawdę mówiąc, zatęskniłam za takim maluszkiem. Lubię ją przytulać, a ona już lada dzień przestanie to znosić.

- Jesteś...? - Angela dyskretnym gestem pokazała wydatny brzuch, żeby przy dziewczynkach nie powiedzieć słowa „ciąża”.

- Jeszcze nie - westchnęła Dinah. - Najwyższy czas, ale Eric jest taki zapracowany... To jeden z powodów, dla których ściągnął tu Marka. Żeby obaj, Eric i Neil, mieli więcej czasu dla rodziny.

Jeden z powodów. Gabby mówiła co innego. Ciekawe, czy Dinah o tym wie. Ale nie pora o to pytać, zwłaszcza przy bliźniaczkach, poza tym czeka na nią Catie.

- Pamiętaj, że zawsze możesz na mnie liczyć.

- Kiedy? - zainteresowała się Philippa. - Kiedy mama może na ciebie liczyć? Na co?

- Na tarte z owocami, którą dzisiaj upiekę.

- My też chcemy!

- Dla was też coś się znajdzie. - Ucałowała obydwie dziewczynki. Siostrzenice... Dinah się poszczęściło: ma takiego męża jak Eric i dwie słodkie córeczki. Zazdrościła siostrze takiej rodziny. Kiedyś sama myślała... łudziła się, że tak się jej ułoży z Bradem, ale wyszło inaczej. - Tarta z owocami dla wszystkich. Muszę lecieć. - Pożegnała się czule z Sarah. - Jutro po ciebie przyjdę, słonko. Zaopiekuję się tobą ciocia Dinah, a dziewczynki już przygotowały różne atrakcje. - Nie pierwszy raz rozstawała się z Sarah na noc, ale te rozstania zawsze były trudne.

Krzętała się w kuchni od prawie dwóch godzin, ale Marka nie zauważyła. Po tym, jak zostawiła Sarah u siostry, na dwie godziny poszła do szpitala, ale i tam go nie zastała. Po raz kolejny wychyliła się, żeby zerknąć na salę. Ogarnęło ją rozczarowanie. Czego się spodziewała? Ich układ jest napięty. Trudno to nawet nazwać układem, bo atmosfera robi się gęsta, gdy tylko znajdą się w tym samym pomieszczeniu.

Mimo to Mark ją intrygował. I to dlatego tak jej zależało, żeby przyszedł.

- Na kogo czekasz? - zacięła się Catie.

- Na nikogo.

- To dlaczego co pięć minut wychylasz się z kuchni i tęsknie popatrujesz na salę?

- Zaprosiłam kogoś na degustację okonia i wcale tęsknie nie popatruję - zachnęła się.

- Jak jesteś taka cięta, to znaczy, że to facet.

- Kolega ze szpitala.

- Wysoki przystojny brunet? Którego śniadanie zawsze się składa z dwóch jajek sadzonych, żytnej grzanki bez masła, sałatki owocowej i czarnej kawy?



- Zawsze?

- Zawsze. Żadnych zmian.

- Nudne.

- Coś mi się wydaje, że nie chcesz odpowiedzieć na moje pytanie. - Catie szeroko się uśmiechnęła. - Ale w porządku, każdy ma prawo do tajemnic.

- To żadna tajemnica. Powiedział, że często jada tu kolację, więc mu zaproponowałam, żeby dzisiaj spróbował okonia *a la puttanesca*. Ale nie przyszedł.

- Przyszedł, przyszedł. Siedzi w tamtej wnęce. Z kuchni go nie widać. I, prawdę mówiąc, zamówił okonia.

Serce jej zabiło szybciej, więc odetchnęła głęboko, żeby je uspokoić.

- Okoń będzie gotowy za siedem minut.

- Zrób z tego porcję dla dwóch osób i zjedz razem z nim. Zaraz zamykamy, klientów niewielu, nie ma powodu, żebyś do końca siedziała w kuchni, bo za pół godziny zaczniemy sprzątać. Zjedz razem z nim.

- Nie mogę - wykrztusiła Angela, czując, jak się czerwieni, i to nie z powodu gorąca panującego w kuchni.

- Dlaczego?

- Nie potrafimy się dogadać. Ani w ząb. Myślę, że gdybym weszła do pokoju, w którym on je, toby się zakrztusił.

- I mimo to zamówił okonia Angeli? - Catie pokręciła głową. - Gdyby miał się zakrztusić, poszedłby gdzie indziej. Ale przyszedł tutaj. Chyba jesteś dla siebie zbyt surowa.

- Nie mam czasu... na nic. Na pewno nie na... no, sama wiesz. Mam dziecko i moje życie jest bardzo chaotyczne. Nawet gdyby nie miał się zakrztusić, to i tak bym nie mogła... siedzieć z nim przy jednym stole. Nie teraz. Mam inne priorytety.

- Rób, jak chcesz. Ale wiem po sobie, że jak się czegoś bardzo pragnie, to czas zawsze się znajdzie, a jak się pragnie trochę mniej niż bardzo, to też może wydarzyć się coś zaskakującego, ale trzeba dać temu czemuś szansę. Taką szansą może być chilijski okoń morski.

Angela popatrzyła na potężnie zbudowanego mężczyznę, który krzątał się nieopodal bocznych drzwi. Walt Graham niedawno został jej doradcą medycznym w programie dla dzieci z cukrzycą. Sam też cierpiał na to schorzenie. Aktualnie znajdował się pod czułą opieką Catie, jednocześnie korzystając z jej dietetycznej kuchni. Dla Catie okazał się wielką niespodzianką. Oboje owdowieli, wcześniej byli przyjaciółmi, a teraz łączył ich wspólny cel. Dla wszystkich było to ogromnym zaskoczeniem, ale też wszyscy życzyli im jak najlepiej.

- Może innym się to sprawdza, ale ja nie mogę ryzykować - stwierdziła Angela, wyłączając piekarnik. Jeszcze siedem minut na udekorowanie dania i wyjdzie do domu. Bocznymi drzwiami, nie przez salę.

- Muszę przyznać, że był to najsmaczniejszy okoń, jakiego kiedykolwiek jadłem - powiedział Mark.

Padał gęsty śnieg, mimo że był już początek marca. Dla White Elk to dobrze, bo dzięki temu sezon narciarski się wydłuży, a on nareszcie znajdzie czas, żeby pojeździć na nartach. Marzyło mu się to, odkąd przyjechał tu trzy miesiące temu, ale do tej pory nie zrealizował tego planu.

Angela wysunęła głowę spod otwartej maski.

- Cieszę się, że ci smakowało - warknęła.

- Zadam teraz bardzo logiczne pytanie. Masz problem? Czy po prostu lubisz majstrować przy gaźniku na nieoświetlonym parkingu, kiedy sypie śnieg?

- Nie majstruję przy gaźniku.

Wyjął kieszonkową latarkę, żeby jej poświecić.

- To jest gaźnik i odnoszę wrażenie, że przy nim majstrujesz.

- Nie chce zapalić - przyznała.

- Jesteś mechanikiem i dlatego chcesz to naprawić?

Nie miał zamiaru występować w roli rycerza na białym koniu, który ratuje damy z opresji. Owszem, pomoże jej, bo tak wypada, ale stanie się to na warunkach, które już wcześniej sobie narzucili. Konfrontacja. To jedyne bezpieczne wyjście, skoro nie potrafi trzymać się od niej z daleka.

- Nie jestem mechanikiem i nawet nie wiem, czym różni się gaźnik od... całej reszty tego złomu pod maską.

- Wobec tego proponuję, żebyś spod niej wyszła, wsiadła do auta i przekręciła kluczyk, a ja posłucham, co się dzieje.

- Pomożesz mi?

Chyba się zdziwiła, co wcale go nie ucieszyło. Poczul wyrzuty sumienia. To miła dziewczyna, ciężko doświadczona przez los.

- Angela, posłuchaj, zdaję sobie sprawę, że się różnimy...

- I to jak!

Mimo woli się uśmiechnął.

- Niech ci będzie. Ale ani razu nie chciałem zrobić na tobie wrażenia faceta podłego.

- I nieokrzesanego - dodała. Nie mógł się nie uśmiechnąć.

- Okej, podłego i nieokrzesanego, ale znalazłem się teraz na życiowym zakręcie, co nie ma z tobą nic wspólnego. Chcę tylko mieć święty spokój, a trudno o to, kiedy...

- Kiedy ciągle się czepiam?

- Tak, ciągle się czepiasz, ale nie w tym rzecz. To... to wszystko. - Zakreślił ramieniem koło obejmujące restaurację Catie, szczyty Trzech Sióstr w oddali, główną ulicę White Elk, zaśnieżony parking. - Wszystko. Nie chcę tu być. Nie chcę żyć w ten sposób. Nie interesuje mnie medycyna ani nic, co już miałem. Ale muszę tu tkwić przez półtora roku, a tak się składa, że kiedy jestem w dennym nastroju, ty jesteś najbliżej.

- I dlatego tak obrywam?

To prawda. Zawstydział się. Ale było w niej coś, co sprawiało, że zapragnął wyjść na prostą, i to jak najszybciej. Pod jej nieobecność potrafił skupić się na tym, co robi, ale gdy była blisko, budziła się w nim przemożna chęć zmiany.

- Chyba tak, przepraszam. Przeczytałem program twojego obozu i jestem pod wrażeniem. Genialny pomysł. Jutro zamierzam gorąco go poprzeć oraz wspierać go do końca pobytu w White Elk.

- Mam nadzieję, że będziesz go popierać z uśmiechem na ustach, bo jak będziesz taki skrzywiony jak zawsze, to nie przekonasz Erica i Neila, że naprawdę ci się podoba.

Nieźle mu przyłożyła, ale zaczynało mu się to podobać.

- Jestem skrzywiony przez cały czas?

- Przez dziewięćdziesiąt dziewięć procent czasu.
- Obiecuję, że jutro będzie to dziewięćdziesiąt osiem.
- Nie uznajesz przemieszczania się skokami, wolisz drobne kroczki.
- Bo ty zawsze rwiesz do przodu.

- Życie jest krótkie. - Owinęła się szczelniej szalikiem. - Jest taki wiersz, w którym poeta przestrzega, żeby nie wchodzić łagodnie w noc. I tak chcę żyć. Mam mnóstwo do zrobienia, a tego nie da się osiągnąć, chodząc łagodnie. Nie odzyskam ośmiu straconych lat, więc nie mam ani minuty do stracenia.

- I dlatego chcesz zostać ratownikiem. - Miał lekkie poczucie winy, że jej to uniemożliwił, ale jego decyzja jest ostateczna. W tym zespole muszą znaleźć się najlepsi, a ona nie spełnia tych kryteriów. - I zrobisz drugie podejście, tak?

- Nie. Nie uwolnisz się ode mnie. Zamierzam wysłuchać wszystkich twoich wykładów, ale nie z ostatniej ławki. Akceptuję twoją decyzję. Nie podoba mi się, ale obrócę ją na swoją korzyść.

Właśnie dlatego on nie może sobie pozwolić na zbliżenie do niej. Bo jest taka dynamiczna, tak pozytywnie nastawiona. Bał się, że pod jej wpływem zmieni pogląd na wiele spraw, pogląd, który od dwóch lat tak hołubi.

- W tej chwili muszę się zastanowić, jak uruchomić twój samochód.

Usiadła za kierownicą i przekreśliła kluczyk. Suchy szcęk. I cisza.

- Kiedy wymieniałaś akumulator?

- Miesiąc temu. - Spróbowała po raz drugi. Bez rezultatu.

Obejrzał przewody i klemy, kazał znowu włączyć silnik. Nic.

- Dobra wiadomość jest taka, że to nie gaźnik, a zła, że to oznacza wizytę w warsztacie.

- Jeżdżę tam chyba co tydzień. Może trzeba kupić nowe auto. Muszę mieć coś mniej zawodnego, bo przecież mam Sarah. - Sięgnęła do kieszeni po komórkę.

- Dzwonisz po taksówkę? Pokręciła głową.

- Nie, do Erica.

- Daj mu pobyc z rodziną, ja cię odwiozę - zaproponował pod wpływem impulsu.

- Jesteś tego pewien?

- Podjęłaś mnie wyśmienitą kolacją. Chociaż tak mogę się odwdzińczyć.

- Wobec tego skorzystam. - Schowała telefon, po czym z tylnego siedzenia wzięła torebkę, torbę i laptopa.

Przejął od niej torbę i laptopa i poprowadził do czarnego auta terenowego, które było tak wysokie, że pomyślała, że nie uda się jej wsiąść.

- Ach, ci mężczyźni i ich maszyny - westchnęła, podciągając się do środka.

- Bardzo przydatny w górzystym terenie.

- Chyba nie zamierzasz mieszkać w górach? - zapytała, ledwie siadł za kierownicą. - Za półtora roku stąd wyjedziesz.

- Jeśli w nowym miejscu nie będzie przydatny, to kupię coś innego.

- Nie wiesz, dokąd się przeprowadzisz? - To by jej nie dziwiło, bo sprawiał wrażenie człowieka, który raczej od czegoś ucieka, niż za czymś goni.

- Nie mam pojęcia. Jest mi to obojętne. Dobra jest każda szosa, która dokądś prowadzi.

Zapięła pas i wygodnie się usadowiła, delektując się zapachem nowości, który kojarzył się jej z Markiem.

- Chyba przede mną jeszcze nikt nie siedział w tym fotelu? - Może to dziwne pytanie, ale nie wyobrażała sobie, by Mark zbliżył się do kogoś na tyle, by zaprosić go do swojego samochodu. Chciała to sprawdzić.

- Jesteś pierwsza, nie licząc dilerów, którzy tu siedzieli podczas jazdy próbnej.

Nie kobieta. To znaczy, że nie spotyka się z kobietami. To też jej nie zaskoczyło, no, niezupełnie. Tacy mężczyźni jak Mark nie mogą żyć bez kobiet. Bez trudu mogła go sobie wyobrazić z dwiema, uwieszonymi na każdym ramieniu, ale teraz wyczuwała, że rzeczywiście jest sam. I ma żal do całego świata.

- Interesuje mnie siedemdziesiąt pięć procent, a nie dziewięćdziesiąt osiem.

- Co takiego?

- Życzę sobie, żebyś był niezadowolony przez siedemdziesiąt pięć procent czasu rozmowy z Erikiem

i Neilem. Taki pesymizm szkodzi na trawienie. Nie będę ci robić wykładu na temat zaburzeń fizjologicznych wywołanych skurczem jelita grubego, powiem tylko tyle, że nic dobrego z tego nie wynika. Więc gdybyś się rozchmurzył na jedną czwartą dnia i postarał czasem uśmiechnąć, twoje jelita by się rozluźniły, a ty poczułbyś się o wiele lepiej.

- Opinia profesjonalisty?

- Tak. Oraz osoby, która zmarnowała dużo czasu, chodząc po świecie ze ściągniętymi brwiami i ściśniętym żołądkiem.

- Co musiało się wydarzyć, żeby to się zmieniło?

- Zaczęłam być szczęśliwa. Urodziłam dziecko, poznałam wartość przyjaźni. Odkryłam, że to, czego chcę, nie jest aż tak skomplikowane, jak sobie wyobrażałam. Przede wszystkim jednak dotarło do mnie, czego nie chcę, i z tym skończyłam. - Kiedy w końcu wyszła z cienia Brada, który zawsze dominował, wszystko się zmieniło.

Mark też żył w takim cieniu, widziała to wyraźnie. Szkoda, bo pod maską ponuractwa dostrzegała przebłyski czegoś dobrego, ale też emocje do tego stopnia sprzeczne, że przesłaniające mu to wrodzone dobro.

Gdy przejeżdżali przez miasteczko, wpatrywała się w trzy szczyty górujące nad doliną. Według indiańskiej legendy czuwały nad miasteczkiem oraz wszystkimi ludźmi żyjącymi w ich cieniu. To był dobry cień w przeciwieństwie do mroczności Marka, która zaczynała ją przytłaczać. Siostry, do roboty, pomyślała. Obejmijcie go swoim cieniem, bo on tego bardzo potrzebuje.



TLR

## ROZDZIAŁ TRZECI

Po tym, jak wyjaśniła mu, jak trafić do jej domu, jechali w milczeniu. Ona wpatrywała się w krajobraz za szybą, on nie zdradzał chęci do rozmowy. Ta cisza trochę ją denerwowała, tym bardziej że nie miała pojęcia, skąd te ciarki chodzące jej po plecach. Wolą nad tym się nie zastanawiać. Uznała, że lepiej będzie wpatrywać się w drogę i wirujące płatki śniegu.

- Co jest?! - warknął, gdy niemal dojeżdżali już do jej domu. Zahamował tak gwałtownie, że tylko dzięki pasom nie wyrznęła głową w przednią szybę.

- Co się stało? - zapytała, rozluźniając pas.

- Nie wiem. - Wrzucił wsteczny bieg. - Wydawało mi się... - Nie dokończył, tylko odpiął pas, otworzył drzwi i wyskoczył z auta.

- Mark! - Szamotała się ze swoim pasem, ale zauważyła, że skręcił w parkową alejkę. - Co robisz?! -zawołała, prawie go doganiając.

- Tam ktoś leży! - odkrzyknął.

Nim do niego dobiegła, zobaczyła, że ściąga kurtkę.

- To pan Whetherby - wysapała - nasz bibliotekarz. W każdy piątek przychodzi do hotelu na kolację. Na kraba w sosie Newburg i... - Ugryzła się w język, gdy się zorientowała, że pan Whetherby nie daje znaku życia. Uklękła obok Marka. - Co mu się stało? - Zdjęła kurtkę, by okryć leżącego.

- Żebym to ja wiedział. Zobaczyłem, że ktoś leży...

- Zobaczyłeś go z ulicy? - zdumiała się.

Mark tymczasem wprawnym ruchem szukał tętna na szyi bibliotekarza.

- To mój zawód.

- Powiedz, co ja mogę zrobić. - Wyjęła komórkę. -Mam zadzwonić po karetkę?

- Prawidłowo. Powiedz im, że jest wychłodzony, a tętno ma nitkowate i wolne. Że muszą go w karetce ogrzać, a w szpitalu wezwać ortopedę... Podejrzewam, że ma poważne złamanie.

Gdy przekazywała te informacje dyspozytorowi, Mark badał stan kończyn mężczyzny. Potem, pamiętając ruchy Marka, sama przyłożyła palce do szyi pacjenta, by nauczyć się wyczuwać tętno. Tak, wolne i nierówne, jak stwierdził

Mark. Dla porównania dotknęła własnej szyi, by poznać różnicę między tętnem normalnym a tętnem nieprawidłowym. Ta różnica była porażająca. Po raz pierwszy dotarło do niej, że w ten sposób dowiaduje się, czym jest istota życia. Że ona żyje, a pan Whetherby gaśnie.

Żeby to wiedzieć, nie trzeba być lekarzem.

- To chyba biodro - mruknął Mark, wstając. - Na pierwszy rzut oka tak to wygląda. - Nie czekał na jej odpowiedź. Odwrócił się i jak wiatr pognał alejką w kierunku ulicy. Nawet by za nim nie nadażyła. Została sam na sam z panem Whetherby.

- Richard, to ja, Angela Blanchard. Jest ze mną Mark Anderson, lekarz z naszego szpitala. Zajmiemy się tobą, za kilka minut przewieziemy cię do szpitala.

Brak reakcji. Czego się spodziewała? Postanowiła więc jeszcze raz poczuć, ile jest w nim sił vitalnych. Dotknęła jego szyi w tym samym miejscu co przedtem, ale nic nie poczuła. Ponowiła próbę. Przesuwała palce to w jedną stronę, to w drugą. Nic. Nagle doznała olśnienia.

- Mark! - wrzasnęła, ustawiając się tak, by lekko unieść głowę nieprzytomnego bibliotekarza. Lata wcześniej uczono ją sztucznego oddychania, ale nie miała okazji wypróbować tego w praktyce. - Mark! - krzyknęła jeszcze raz, rozwierając szczęki nieprzytomnego mężczyzny, by dać mu oddech życia.

Zrobiła ich kilka, nie pamiętała, ile, ale pamiętała, że dużo. Zsunęła z niego swoją kurtkę, rozpięła mu płaszcz, i złożywszy dłonie, jak uczono ją na kursie, zaczęła uciskać klatkę piersiową. Przez cały czas się bała, że uciska za słabo albo za mocno. Przypomniały się jej słowa instruktora o popękanych żebrach i uszkodzonych płucach.

- Angela... - Mark przykląkł obok niej.

- Nie wyczuwałam tętna - wykrztusiła, ustępując mu miejsca - więc... - Wolała nie kończyć, tylko obserwowała jego ruchy. - Trzydzieści do dwóch?

Przytaknął bez słowa, a ona, doliczywszy się trzydziestu uciśnień, już była przygotowana na następne dwa oddechy. Uzupełniali się przez kilka kolejnych minut, minut, które wydały się jej wiecznością. W końcu dobiegł ich z oddali odgłos syreny.

- Gdzie jesteście? - zawołał ktoś od strony ulicy.

- W alejce, piętnaście metrów od was! - odrzekła.

- Angela, trzymaj latarkę - odezwał się Mark - i podtrzymuj mu głowę. Musimy przywrócić oddychanie, więc muszę go intubować, włożyć mu rurkę do gardła.

Jeden z ratowników przejął uciskanie klatki piersiowej, drugi wykladał sprzęt: rurki, tlen, monitor kardiologiczny.

Mark gestem polecił mu podać rurkę Angeli. Trzymała ją, nie wiedząc, co z nią zrobić.

- Podasz mi ją, jak cię poproszę. Na razie trzymaj latarkę i pilnuj, żeby głowa mu się nie zsunęła. W normalnych warunkach nie jestem zmuszony robić tego, leżąc na śniegu, więc może to być trochę skomplikowane.

- Dam radę - szepnęła, bardziej do siebie niż do niego. Ale i tak usłyszał.

- Wiem. - Ścisnął worek ambu, który zastąpił metodę usta-usta. - Kiedy włożę tę rurkę, podasz mi stetoskop - mówił chłodnym tonem. Dla niego to chleb powszedni, dla niej całkowita nowość. - Potem ją przytrzymasz, żebym mógł się upewnić, że jest tam, gdzie trzeba.

To ją trochę przestraszyło, ale przytaknęła. Miała przy tym nadzieję, że nie wygląda jak lalka kiwająca głową.

- Gotowa? - Po raz ostatni ścisnął worek ambu, po czym dał znak ratownikom, by zaprzestali uciskania klatki piersiowej.

Trwało to sekundy, ale zapamiętała każdy jego ruch. Położył się na śniegu, wyjął z kieszeni jakiś instrument, nie zapamiętała jego nazwy, jeszcze szerzej otworzył usta bibliotekarza, po czym poprosił ją o rurkę. Wsunął ją... Miała ułatwić oddychanie, więc do tchawicy.

Po raz pierwszy Angela zaczęła się zastanawiać, co je rozdziela, jak Mark je rozróżnia.

- Stetoskop - rzucił. - Teraz trzymaj rurkę. Nie ma prawa drgnąć.

Ratownik tymczasem podłączył do rurki worek am-bu, po czym energicznie ścisnął go kilka razy. Mark pokiwał głową.

- Porządnie oklej ją plastrem - polecił Angeli. W tej samej chwili ratownik rzucił jej szpulę białej taśmy.

- Mam ją tym owinąć? - zapytała.

Ratownik podjął uciskanie klatki piersiowej, a podczas gdy Mark rozpakowywał strzykawkę, drugi ratownik podłączał pojemnik z kroplówką do rurek umocowanych na ramieniu pana Whetherby'ego. Tyle się działo, że Angela za tym nie nadążała, nawet z oklejeniem rurki.

- Zrób pętlę na rurce, a końce plastra przyklep mu do policzków - cierpliwie pouczył ją Mark.

Łatwo powiedzieć. Ale pokonała onieśmielenie. Gdy rurka była już umocowana, Mark wsunął do niej strzykawkę.

- Żeby nadmuchać balonik - wyjaśnił. - Ta cienka rurka prowadzi do nadmuchiwane balonika w rurce właściwej, intubacyjnej. Powietrze wprowadzone tą cienką rurką sprawi, że rurka intubacyjna będzie dokładnie przylegała do ścian tchawicy, żeby ta się nie ruszała ani żeby nie przepuszczała powietrza.

Ponownie podłączył worek, by kontynuować wentylację: trzydzieści uciśnień, dwa oddechy. Wszystko to trwało sekundy, ale gdy chory został ustabilizowany na tyle, że można było przełożyć go na nosze, czuła, że z wyczerpania ledwie trzyma się na nogach.

- A elektrowstrząsy? - zapytała.

Oglądała w telewizji, jak lekarze w pośpiechu przykładają coś pacjentowi do klatki piersiowej, żeby pobudzić serce, a ci tutaj tego nie zrobili.

- Zapewniliśmy odpowiedni dopływ tlenu do mózgu. Celem reanimacji nie jest przywrócenie pacjentowi przytomności, lecz zagwarantowanie odpowiedniej ilości tlenu do czasu udzielenia właściwej pomocy. Szpital jest niedaleko, więc lepiej przeprowadzić kardiowersję tam, w lepszych warunkach.

Kardiowersja, trzeba to sprawdzić w słowniku.

Podczas gdy Mark udzielał jej wyjaśnień, ratownicy zabrali pana Whetherby'ego do karetki. Podniosła z ziemi ich porzucone kurtki i ruszyła za nimi.

- Strasznie szybko - mruknęła pod nosem. Cała akcja trwała dziesięć, góra piętnaście minut od chwili, kiedy Mark dostrzegł ciało w parkowej alejce.

- Dzięki tobie - zauważył. Wziął jej kurtkę, otrzepał ją ze śniegu, po czym pomógł jej ją włożyć.

- Ja nic nie zrobiłam. Tylko... Chyba musisz pojechać za nimi do szpitala.

- Owszem. Zacząłem, więc chciałbym dalej trzymać rękę na pulsie.

- Jedź, ja tu zostanę. Może uda mi się znaleźć Freda. I pozbieram po nas śmieci. - Opakowania, rurki... straszny bałagan, jak na tak błyskawiczną akcję.

- Jakiego Freda?

- Jego psa, yorka. Pan Whetherby po południu wychodzi tu z nim na spacer. Wszyscy znają Freda, bo przez cały dzień siedzi w bibliotece, pod stołem. Ma ten przywilej jako pies pracujący.

- Pies pracujący? Jak dla niepełnosprawnych? Uśmiechnęła się.

- Zarząd biblioteki przychylił się do prośby pana Whetherby'ego. Fred jest ulubieńcem wszystkich dzieci, które zaglądają do biblioteki, a frekwencja na im prezach dla dzieci znacznie wzrosła, od kiedy Fred zaczął brać udział w spotkaniach z bajkami.

- Rozumiem, musisz go znaleźć, żeby oszczędzić dzieciakom rozczarowania. Ale jak dostaniesz się do domu?

- Piechotą, spokojnie, ty wracaj do szpitala. Chcę pobyć sama, żeby sobie przemyśleć różne sprawy.

Ale Mark nie odchodził.

- Zaczekam na ciebie w samochodzie. Pokręciła głową, odwróciła się i ruszyła alejką.

- Fred! Fred, chodź tu!

Nerwy puściły jej dopiero, gdy usłyszała, że Mark odjeżdża. Opadła na najbliższą ławkę. Westchnęła, o-tarła kilka łez. To, co robiła... nie ma najmniejszego znaczenia, ale to, co zobaczyła, to, co od dawna chciała robić...

- Tak, chcę to robić - szepnęła akurat w chwili, gdy z krzaków wysunął się kudłaty łebek. - Fred, chcę to robić. Nie mogę stać z boku jak do tej pory, zmarnowałam zbyt wiele lat. - Wyciągnęła rękę, by przywabić psa.

Musi sobie przemyśleć całe to wydarzenie, kolejne procedury, wbić je sobie do głowy, aby na zawsze je zapamiętać. Ale mimo że bardzo się starała, jedyne, co wbiło się jej do głowy, to... Mark.

- Normalnie psy nie mają tu wstępu - powiedział. Tuląc Freda, przyglądała się, jak Mark i cały zespół

krzątają się przy panu Whetherbym, który nadal nie odzyskiwał przytomności. Wydał się jej wyjątkowo kruchy pośród aparatury klikającej i popiskującej wokół łóżka, oplatany kilometrami rurek.

Znalazła się nagle w nieznanym sobie świecie. Mimo że ostatnio bywała w wielu szpitalach, pierwszy raz zwróciła uwagę na to, co naprawdę tam się dzieje. Czowała strach, ale jednocześnie uprzytomniła sobie, jak mało wie i jak dużo chce się dowiedzieć.

- Wiem, miałam pójść z nim do domu, ale chciałam się dowiedzieć... co z panem Whetherbym. Lubię go. Kiedy stołował się w hotelu, wychodziłam z kuchni, żeby zjeść z nim deser i porozmawiać.

- Na razie nie jest z nim najlepiej - rzekł półgłosem Mark. - Nie możemy go ustabilizować. Był wychłodzony, zbyt zmarznięty.

- Rozumiem.

- Nie wiadomo, jak długo tam leżał, więc mamy problem z oznakami życia. Nie ogrzewa się tak szybko, jak byśmy chcieli. Idzie to bardzo wolno.

- Podobno zimno jest korzystne. Spowalnia procesy jak w stanie hibernacji. - Głupio to zabrzmiało, ale nie potrafiła pohamować ciekawości.

- To prawda. Wszystkie procesy zwalniają, a chłód pomaga zachować równowagę.

- Ale nie w jego przypadku?



- Myślę, że niska temperatura uratowała mu życie, ale wystąpiły komplikacje. Podejrzewamy, że pośliznął się, złamał biodro... a to poważne złamanie, i doszło do krwotoku wewnętrznego. Pewnie leżał na śniegu dłuższy czas, doznał wstrząsu... całe mnóstwo czynników.

- Ale gdyby nie mróz, to już by nie żył?

- Zapewne. Zimno go uratowało, ale Jez skomplikowało sytuację. Jednak żyje, a to jest najważniejsze.

- Wyjdzie z tego? - zapytała, nie kryjąc nadziei. Mimo że już nie gotowała w hotelu, razem z Sarah spotykała się z nim w każdy piątek przy deserze. Ta rutyna stała się częścią ich życia, jak wiele innych pozornie mało znaczących spraw w miasteczku. W rzeczywistości żadna z tych spraw, nawet deser z leciwym bibliotekarzem, nie była mało znacząca, bo wszystkie razem złożyły się na to, że postanowiła właśnie w White Elk wychowywać Sarah.

- Jeszcze nie wiadomo. To się okaże w ciągu najbliższej doby. Jeśli przeżyje, to czeka go bardzo poważna operacja, a to oznacza, że jeśli on nie ma nikogo, kto zająłby się psem... - podrapał Freda za uchem - to spada to na ciebie.

- U mnie nie wolno trzymać psów. Ja tylko wynajmuję mieszkanie.

- Za mniej więcej pół godziny pan Whetherby zostanie przewieziony na oiom. Może przez ten czas uda ci się znaleźć kogoś, kto zaopiekuje się Fredem. Potem mogę odwiedzić cię do domu.

Mogła zamówić taksówkę, mogła spokojnie pójść na piechotę, mimo że śnieg sypał coraz bardziej. Woląla jednak pojechać z Markiem, żeby usłyszeć jego opinię, żeby czegoś się nauczyć.

Obeszła cały szpital w poszukiwaniu tymczasowego opiekuna dla Freda. Za każdym razem spotykała się z odmową. Alergie, inne psy, brak czasu... W ciągu trzydziestu minut usłyszała chyba wszystkie możliwe wymówki. Wróciła na oddział ratunkowy. Z Fredem.

- Pan Whetherby odzyskał przytomność - poinformował ją Mark. - Odłączyliśmy go od respiratora, bo oddycha samodzielnie. Ledwie otworzył oczy, zapytał o Freda. Ta psina jest dla niego wszystkim. On nikogo nie ma.

- Ale ja nie mogę go przygarnąć - jęknęła. Bo ona ma tak dużo: dziecko, siostrę, rodzinę, znajomych. A pan Whetherby ma... pieska. - Jedynym wyjściem będzie oddać go do schroniska. Przyjmą go na jakiś czas, ale potem...

- Obiecałem mu, że go wezmę - rzucił Mark mimochodem.

- Słucham?!

- Ze zajmę się Fredem.

Nie spodziewała się, że facet, który stroni od ludzi, weźmie psa. Cóż, nie należy niczego brać za pewnik. Prawdę mówiąc, ucieszyło ją, że pokazał ludzkie oblicze.

- On jest bardzo przyjazny - powiedziała. - Lubi być noszony.

- Jak ma być ze mną, to będzie chodził na własnych nogach. - Zachmurzył się, ale chyba udawał.

- Jak ty zobaczyłeś go w tej alejce? Ja go nie zauważyłam, a mam dobry wzrok.

- Kwestia wprawy. Ćwiczę spostrzegawczość od lat. - Ruszył do wyjścia. Zrobił dziesięć kroków, zanim się obejrzał, czy Angela za nim idzie.

Szła, ale wolno. Rozglądała się, ćwicząc spostrzegawczość. Patrzyła na sprzęt, zaglądała do sal zabiegowych, żeby wszystko zapamiętać, żeby przeczytać o tym w domu.

Obserwował, jak Angela uczy się tego, co dla niego jest oczywiste. Była zafascynowana, podobnie jak on wiele lat wcześniej. Zdążył już zapomnieć, że kie-

dyś był jak ona... żaden wiedzy. Ale brakowało mu jej talentu, tego daru, z którym się dziś zetknął. Znalazła się w dramatycznej sytuacji, ale bezbłędnie reagowała nie tylko na jego wskazówki, ale i kierowała się intuicją.

Kiedyś i jemu się wydawało, że świat stoi przed nim otworem, i tego jej teraz zazdrościł. Ale to już przeszłość. Nawet więcej, wcale nie chciał nawrotu tego zapachu.

- Idziesz? - zapytał bez zniecierpliwienia.

Chciał, by się nacieszyła swoim pierwszym zwycięstwem, bo w przyszłości będzie to dla niej bardzo ważne. Nigdy tego nie zapomni. Ani on.

- Herbata, kawa, gorąca czekolada? Z odrobiną brandy? - Nie wypuszczając Freda z objęć, wysiadła z auta. - Mogę cię też poczęstować kawałkiem szarlotki własnej roboty. - Nie oczekiwała, że Mark skorzysta z zaproszenia, tym bardziej że milczeli od chwili, kiedy wsiedli do samochodu.

Liczyła, że po drodze porozmawiają, że Mark powie jej, co zrobiła dobrze, a co źle. Nic z tego. Milczał jak zaklęty. Nie chciał rozmawiać, nie chciał, by zwracano mu głowę. Ciszę mąciły jedynie odgłosy wydawane przez Freda, który spał między ich fotelami z głową na udzie Marka, miarowo pochrapując.

Stali pod jej domem, a ona czekała, aż Mark podziękuje jej za zaproszenie, ale wyraźnie rozważał je w myślach.

Więc co? Szarlotka? Sama kawa?

- Może szarlotka - powiedział po namyśle. - Pod warunkiem, że Fred może wejść.

- Mogę przyjmować gości - odparła z wahaniem - ale schowaj go pod kurtką.

- Fred, hop, pod kurtkę!

Była w szoku. Chciała zapytać, dlaczego przyjął zaproszenie, ale pomyślała, że po prostu zgłodniał po akcji w parku. Bo dla czego innego?

- Większość mebli nie jest moja - wyjaśniła, gdy weszli do środka, a Mark postawił Freda na podłodze. - Brad i ja mieliśmy mieszkanie służbowe w hotelu. I tak było przez całe lata w różnych miejscach. Jeśli się tak żyje, to ma się skromny dobytek. Tylko rzeczy naprawdę potrzebne.

- Ładnie tu - powiedział, rozglądając się. - Skromnie. Ale i tak za dużo jak na moje potrzeby.

- A ty gdzie mieszkasz?

- Miałem zamiar zatrzymać się w hotelu na Małej Siostrze, ale się spalił. Wynajmuję pokój u Laury Spencer.

- W jednym z domków czy w zajeździe?

- Nad garażem w jej domu. To pomieszczenie gospodarcze podłączone do wody i prądu, z łazienką. Przeniosła swoje rzeczy w jeden koniec, a ja mieszkam w drugim. Podoba mi się tam.

- Bo to kwatery tymczasowa? - Wyjmowała z lodówki szarlotkę dla diabetyków. - Jeszcze półtora roku i zwiniesz manatki. Na tak krótko nie warto więc sobie gniazdka. Wystarczy poddasze.

- Półtora roku to osiemnaście długich miesięcy - zauważył. - Bardzo ważny jest ten przymiotnik, bo tylko on daje mi nadzieję.

- Nadzieję? - Spojrzała na niego przez ramię, wyjmując z szafki dwa talerze. Uśmiechał się. - Nie mogę się połapać, kiedy żartujesz, a kiedy mówisz serio.

- Przyjmij, że zawsze mówię serio.

- W domu też masz ściągnięte brwi? Ćwiczysz przed lustrem? Budzisz się rano ze zmarszczonym czołem? I taki nastroszony wypijasz kawę? Po kawie ponuracy zazwyczaj się rozchmurzają. Podniosłeś ponuractwo do rangi sztuki. Kawa do szarlotki?

- Mam wrażenie, że trzeba wyjść z Fredem. Podejrzanie się kręci. Tak, budzę się naburmuszony. I to mi nie przechodzi nawet po kawie.

Znowu się uśmiecha. Jak ładnie. Szkoda, że nie robi tego częściej.

- Wyprowadź go na patio, za tymi rozsuwanymi drzwiami. Jest ogrodzone. Wystarczy mu tam miejsca. Przypilnuj tylko, żeby nie czekał.

Krojąc ciasto, zastanawiała się, co sprawiło, że świetny lekarz oraz osobnik tak spostrzegawczy, że wie, kiedy pies chce wyjść, nabrał tak ogromnego dystansu wobec otoczenia. Może rozwód, pomyślała. Ją też mogłoby to spotkać, gdyby na pomoc nie pospieszyła jej połowa mieszkańców White Elk, gdy Brad odszedł. I gdyby nie miała Sarah. To Sarah uratowała jej życie. Sarah... Stęskniła się za nią.

Pod wpływem chwili zadzwoniła do siostry.

- Wiem, że już późno, ale...

- Słyszałam, że spotkała cię interesująca przygoda - przerwała jej Dinah.

- To Marka spotkała przygoda, ja stałam z boku i robiłam, co mi kazano.

- Mark Ericowi powiedział co innego. Jego zdaniem byłaś bardzo dobra, zważywszy że nie masz przygotowania. Powiedział, że w równej mierze co on uratowałaś życie panu Whetherby'emu.

- Naprawdę tak powiedział?

- Eric nie kłamie.

Tak, to prawda. Z jednej strony było jej bardzo miło, z drugiej, zastanawiała się, dlaczego Mark sam jej tego nie powiedział.

- Moje córeczki nie dały jej ani chwili wytchnienia. Zasnęła, jak tylko ją położyłam.

- Przyjadę po nią rano, przed pracą. - Chwała Bogu, że w szpitalu działa zło-bek, prawdziwe błogosławieństwo dla wszystkich zatrudnionych tam rodziców.

- Angela, masz zmieniony głos. Wszystko w porządku?

- Szykuje dwa kawałki szarlotki, żeby ją podgrzać.

- Dwa? Kto jest u ciebie, pyta wścibska siostra.

- Mark. W tej chwili jest na dworze z psem pana Whetherby'ego. Jak mnie tu podwiózł, zapytałam, czy ma ochotę na szarlotkę. Nie oczekiwałam, że przyjmie zaproszenie, ale jak widać, nawet najwięksi samotnicy muszą jeść.

Dinah się roześmiała.

- Najwyższy czas, żebyś sobie kogoś znalazła.

- Nikogo nie szukam. Podam mu szarlotkę, może nawet z bitą śmietaną, a potem sobie pojedzie. Ja zaś pójdę spać, a rano w szpitalu nie zamienimy nawet słowa. I tyle. - Zorientowała się w tym momencie, że Mark stoi w drzwiach z Fredem pod pachą. - Ucałuj ode mnie Sarah i powiedz, że ją Kocham, a tobie życzę dobrej nocy.

- Słusznie powiedziałaś. Nie zamienimy ani słowa -odezwał się za jej plecami.

Włożyła szarlotkę do kuchenki mikrofalowej, po czym odwróciła się w jego stronę, biorąc się pod boki.

- A to dlaczego? - Ściągnęła brwi.

- Po pierwsze, pozwolę sobie zauważyć, że to ty teraz się nachmurzyłaś. Po drugie, bez powodu. Tak mi wygodniej. - Przysiadł na twardym drewnianym taborecie. Usiadł, jak stał. Nawet nie zdjął kurtki. Oparł dłonie na krawędzi stołu i przełączył się na tryb milczenia.

- Słabe z ciebie towarzystwo, wiesz? - odezwała się w końcu, uważając, żeby tym razem nie ściągnąć brwi.

- Zależało ci na dobrym towarzystwie? W zaproszeniu nie było o tym mowy.

Przyjrzała mu się uważnie, by się upewnić, że żartuje. Tak, w jego oczach dostrzegła dyskretny błysk.

- Gdyby mi zależało na naprawdę dobrym towarzystwie, zostawiłabym cię w aucie, a zaprosiła tylko Freda.

Kąciki warg mu drgnęły.

- Napraszałaś się.

- Słucham?!

- Napraszałaś się. Zaproszenie na kawę było grzecznościowe, ale propozycja szarlotki to już napraszanie się. Gdyby nie śnieg, padłabyś na kolana.

- Doktorze, to się nazywa chciejstwo. Gdybym się napraszała, dostałbyś więcej niż szarlotkę. Dostałbyś szarlotkę z bitą śmietaną, ale teraz bitej śmietany nie będzie. - Dla podkreślenia swoich słów postawiła przed nim pojemnik z lodami. - Dowiedz się też, że to już resztki, a dzielenie się resztkami to przejaw uprzejmości. Nic więcej.

Dobrze mu przygadała, ale serce biło jej jak młotem. Co gorsza, czuła, że krew nabiega jej do policzków. Taka reakcja na mężczyznę zdarza się jej po raz

pierwszy w życiu i dobrze by było, żeby tego nie zobaczył. Pospiesznie ukryła się za drzwiami lodówki. Jeśli to nie pomoże, będzie zmuszona wejść do środka.

- Stale dla siebie gotujesz? Ciasta, okoń *à la puttanesca*!

- Czasami, nie zawsze. Dla relaksu. To mi poprawia nastrój. Mam wtedy czas na myślenie.

- Ostatnio masz zły nastrój? Ta szarlotka to efekt frustracji?

- Poniekąd. Zanim zapytasz, powiem tak, z twojego powodu. Bardzo mi zależało na tym szkoleniu, a to, że mnie odrzuciłeś, zaowocowało wielogodzinnymi akcjami w kuchni. Wypróbuję nowe przepisy dla cukrzyków z myślą o wprowadzeniu ich w szpitalu.

Przyjrzał się jej z zainteresowaniem, po czym lekko się uśmiechnął.

- Masz niezły metabolizm.

- Nie zjadam tego wszystkiego, rozdaję... przyjaciółom, rodzinie. - Wyjęła szarlotkę z mikrofal. - A czasami gburom, którzy przygarniają opuszczone psy.

- Podejrzewam, że ci Dinah powtórzyła, co mówiłem Ericowi. Czasami zapomina, że wy tu wszyscy jesteście spokrewnieni albo skoligaceni.

- Tak, powtórzyła - odparła lekko urażonym tonem, stawiając przed nim talerz i podsuwając mu widelczyk. Nie usiadła na wprost niego. Wybrała barowy stół przy kuchennym blacie. - Ale wolałabym to usłyszeć od ciebie.

- Liczyłaś na komplementy. A co potem? Myślisz, że na kursie będę cię faworyzował? Jedno wynika z drugiego: razem uratowaliśmy człowieka, więc masz prawo zasiąść w pierwszym rzędzie, tak?

- Może. Kilka dni temu, ale po tym, co wydarzyło się dzisiaj... - Wzruszyła ramionami. - Nieważne. Jedz szarlotkę, bo ci ostygnie. A potem już sobie jedź-



cie, żebyś nie musiał się martwić, że dietetyczka źle cię zrozumie. - Tak, czuła się urażona. Gdyby sam jej to powiedział, toby coś znaczyło... Ale co?

- I dlatego siedzisz w drugim końcu kuchni? Bo cię nie pochwaliłem?

- Siedzę tu, bo tak mi się podoba, tak jak tobie się podobało nie nawiązać do tego, jak się dziś spisałam. Wiem, że nie zabłysłam. Wiem, że moja wiedza jest ograniczona i że na niewiele wam się przydałam. Ale czasami warto komuś powiedzieć: „stary, dobra robota”.

Kęs szarlotki nagle uwiązał jej w gardle. Straciła apetyt oraz ochotę na jego towarzystwo. Najchętniej usiadłaby spokojnie i zasłuchała się w miarowy oddech córki. To zawsze poprawiało jej nastrój. A w tej chwili nawet tego zabrakło. Ogarnęło ją uczucie pustki.

- Słuchaj, jestem skonana. Nagle teraz to poczułam.

- Pewnie adrenalina ci spadła.

- Możliwe. Ja w każdym razie idę spać. Siedź tu, ile chcesz. Zjedz szarlotkę, a jak ci mało, możesz dokończyć moją. Resztę weź do domu. - Zsunęła się ze stołka. Marzyła tylko o tym, by znowu wyrósł między nimi mur. Jeśli Mark uzna, że jest niegościnna, to trudno, ale nie chce go teraz oglądać, ani minuty dłużej. - Przepraszam, ale...

Uśmiechnął się szeroko. Piekielnie atrakcyjny, pomyślała i natychmiast miała to sobie za złe. Za późno. Mark Anderson wrył się jej w umysł jako atrakcyjny. Nie ponury, nie naburmuszony, tylko atrakcyjny.

- Wiem, że marny ze mnie zalotnik i że jestem marnym towarzystwem, ale pierwszy raz w życiu mi się zdarza, że kobieta zostawia mnie samego przy stole.

- W restauracji zapewne udałabym się do toalety i wymknęła tylnymi drzwiami.

- Taki masz zwyczaj?

- Prawdę mówiąc, nie wiem. Po raz ostatni mężczyzna, inny niż mój mąż, siedział przy moim stole... policzmy. Jakies dziewięć lat temu, krótko po tym, jak poznałam Brada. Jeszcze nie był moim mężem. Przygotowałam kolację... - Odeszli od stołu w połowie posiłku, ale razem, i nie doszli dalej jak do sypialni. Zaczzerwieniła się. Więc tym szybciej powinna opuścić Marka, bo nasza ją podobna myśl w jego kontekście. - To zamierzchła przeszłość. Padam z nóg...

Gdy go mijała, wstał, niemal zastępując jej drogę. Poklepał ją po plecach.

- Dobra robota - powiedział, po czym usiadł i podniósł widelczyk w geście pożegnania.

Nie mogła zasnąć jeszcze długo po tym, jak usłyszała, że wychodzi. Być może miał to być gest pojednawczy, który na nim wymogła. A może tylko protekcyjnalny? Nieważne, bo nie miała wątpliwości, że spisała się na medal. Co więcej, on też to wiedział. Z tą myślą zasnęła. Śniło się jej, że pracują ramię przy ramieniu. I że to ona wydaje polecenia.

Bardzo przyjemny sen.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

- Osoba dorosła łatwo przekona dziecko do zrobienia czegoś nieodpowiedniego, a jeśli ta osoba nie zna faktów albo je ignoruje, naraża dziecko na niebezpieczeństwo. Dzieciak ma mieć zaufanie do najbliższych. Więc w sytuacji, kiedy kochający dziadzius mówi, że kawałeczek ciasta mu nie zaszkodzi i że to będzie ich sekret, to dziecko musi przejąć inicjatywę i pouczyć dziadka. Nie twierdzę, że wszyscy dorośli ukradkiem podsuwają słodczyce dzieciom z cukrzycą, bo tak nie jest. Z drugiej jednak strony, nietrudno ulec przekonaniu, że jedno małe odstępstwo nie wyrządzi dziecku krzywdy. A może. Liczne takie odstępstwa mogą je zabić, więc już od najmłodszych lat należy dzieci uczyć, żeby były lepsze od dorosłych, żeby wiedziały więcej niż oni i żeby były odpowiedzialne.

Siedzieli przy stole konferencyjnym przeznaczonym dla dwunastu osób: oni w jednym końcu, Angela, sama, w drugim. Był to jej wybór, nie ich.

Odetchnęła głębiej i poprawiła się w fotelu. Nie było to oficjalne przesłuchanie. Otaczali ją przyjaciele: Eric, Neil, Dinah, Walt Graham, doktorzy Jane McGinnis i Kent Stafford, James oraz Fallon Galbraithowie, a także, o dziwo, Mark Anderson.

- Wiem, że bardzo się w to angażujesz - odezwał się Eric - że zajęłaś się organizacją. Na jakim jesteś etapie? Kiedy zrobimy próbę?

- W hotelu na Małej Siostrze trwa remont po pożarze. Gotowa jest mniejsza kuchnia, trwają prace w pokojach, więc hotel w dalszym ciągu jest zamknięty. Ale kierownik wyraził zgodę na nasz obóz w wyremontowanej części budynku.

To nie będzie typowy obóz, bo nie w plenerze, ale zaproponowano mi wyremontowane skrzydło i dostęp do kuchni.

- Czy to znaczy, że werbujesz chętnych? - zdziwił się Neil. - Nie zdawałem sobie sprawy, że już jesteś na tym etapie. Jestem pod wrażeniem.

- Mam gotową listę. Prawdę mówiąc, mam też listę oczekujących, bo liczba chętnych przewyższyła liczbę miejsc w hotelu. Całe White Elk o tym mówi. Jeśli chodzi o zdrowie dzieci, cała społeczność jest chętna do pomocy.

Spojrzała na Marka, który wydawał się myślami nieobecny. W jego oczach dostrzegła... smutek?

- W tym roku wszystkie drzewka bożonarodzeniowe pochodzą od darczyńców. - Choinki ustawione na ulicach White Elk były darem od miejscowych właścicieli sklepów, a na ozdoby zrzuciły się poszczególne rodziny, firmy i osoby prywatne. - Zebraliśmy też fundusze na rzecz programu dla dzieci z cukrzycą, połowę tych środków przeznaczyliśmy na obóz. Rodzice dzieci, które wezmą udział, wiedzą, że to pierwszy taki obóz. Są świadomi jego próbnego charakteru. Wiedzą, że ma nam pokazać, co należy uwzględnić w ostatecznym programie. Potem można by organizować pięć, sześć takich obozów rocznie, albo nawet więcej w zależności od zapotrzebowania.

- Podoba mi się pomysł obozu w hotelu - zauważył Neil. - Zwłaszcza że wszędzie jeszcze leży śnieg.

- Miejsce zależałoby od pory roku - powiedziała. - Moim celem jest organizowanie go za każdym razem gdzie indziej. W zimie dzieciaki mogłyby jeździć na nartach i łyżwach, w lecie grać w tenisa i pływać. Aktywność fizyczna jest bardzo ważna. Dobrze by było, żeby wracały na takie obozy, kiedy będą czuły, że potrzebują dodatkowego wsparcia. Program powinien być otwarty, żeby miały świadomość, że ktoś stale o nich myśli. Mam nadzieję, że zajęcia będą tak atrakcyjne, że będą się zgłaszały choćby tylko po to, żeby być razem z kolegami, którzy chorują na to samo.

Czuła, że całe gremium jest pod wrażeniem. Widziała, że uczestnicy prezentacji nie odrywają od niej wzroku. Wszyscy prócz Marka, który patrzył przez okno.

- Czy już mówiłam, że mam kilkunastu sponsorów?

- Kilkanaście razy! - Dinah się roześmiała.

- To z nerwów - przyznała Angela. - Kilka dni pisałam i przepisywałam to, co miałam wam do powiedzenia.

To duże obciążenie finansowe dla szpitala, ale na takie obozy mogłyby przyjeżdżać dzieci z różnych stron. Z czasem, gdy program okrzepnie, będzie potrzebna odrębna działka, własne budynki... Angela, przestań! To twoje wielkie marzenie, ale w tej chwili musisz się skoncentrować na rozkręceniu tego projektu.

- Wiem, o czym zapomniałam. Wy to na pewno wiecie, ale dla porządku powiem, że nad stroną medyczną będzie czuwał Walt. Helen Baxter, szefowa hotelu, wygospodarowała dla niego pokój, więc w każdej chwili będziemy mogli skorzystać z jego pomocy.

- Uśmiechnęła się do Walta. - Mam też kilku wolontariuszy oraz kilkoro rodziców, którzy poprowadzą różne zajęcia.

- Ile będzie tych dzieciaków? - zainteresowała się Fallon Galbraith.

- Na początek dwanaścioro, żeby się dało je opanować. Później więcej, jak już będziemy mieli więcej opiekunów i jak się zorientuję, co się sprawdza, a co nie. Właśnie do tego jest nam potrzebny ten pierwszy tydzień.

- Rozmawialiśmy o tym z Erikiem. Obaj doszliśmy do wniosku, że jest to bardzo dobry projekt - oświadczył Neil. - Część schedy po moim bracie została przeznaczona na nowe programy pediatryczne. Myślę, że Gavin byłby z tego zadowolony, ale niepokoi mnie jedna sprawa: aspekt medyczny. Wiemy, że Walt

jest świetnym lekarzem, ale ostatnio ma problemy zdrowotne. Dasz radę uganiać się za dziećmiakami? - zwrócił się do Walta.

- Bieganie nie wchodzi w rachubę - odrzekł Walt.

- Ale mam zamiar być pomocny w każdej innej dziedzinie. Mogę wygłaszać pogadanki, udzielać porad. Zgodziłem się też przebadać uczestników przed obozem, żebyśmy wiedzieli, z czym mamy do czynienia. Insulinozależność, testy A1C oraz inne problemy zdrowotne.

W porze Bożego Narodzenia Walt przez lata był Świętym Mikołajem. Miał za sobą dwadzieścia pięć lat w czerwonym stroju, od dwudziestu pięciu lat dzieci siadały mu na kolanach, by zwierzać się ze swoich marzeń; przez czterdzieści lat asystował przy narodzinach tysięcy maluchów. Już samo to pokazywało, jak bardzo będzie przydatny.

- Mimo to w dalszym ciągu brakuje nam kogoś, kto będzie ich pilnował - niepokoił się Neil. - Na tym próbnym obozie widziałbym wzmocnioną ekipę medyczną, bo nie wiemy, co nas czeka. Poza tym przydałby się gabinet czynny przez całą dobę.

- Zgłaszam się na ochotnika - odezwała się Fallon -ale wolałabym być informowana ze sporym wyprzedzeniem, bo muszę się zajmować Tylerem. - Miesiąc wcześniej wyszła za Jamesa Galbraitha i od razu została mamą energicznego małego chłopca.

- Ja też wam pomogę, ale podobnie jak Fallon trzeba by mnie zawiadomić wcześniej. - James Galbraith był kierownikiem oddziału pediatrycznego w szpitalu, więc nieustannie dyżurował.

- Mam pewien pomysł. - Eric spojrzał na Marka. Mark to zauważył i wbił wzrok w ziemię.

- Zdaje się, że ma to związek z moją osobą.

- Prawdę mówiąc, nie masz nic do roboty - stwierdził Eric.
- Przygotowuję szkolenie - bronił się Mark. - To, dla którego ściągnąłeś mnie do White Elk. Z ratownictwa górskiego, nie dla dzieci.
- Twoje szkolenie zaczyna się za kilka tygodni, ale tak marudzisz, wybierając kandydatów, że może się odwlec w nieskończoność.
- Pracuję na ratunkowym - obruszył się Mark. -I nie marudzę, tylko jestem wybiórczy.
- Niech ci będzie. Ale wybiórczy możesz być i tutaj, i na obozie dla cukrzyków. A na oddziale znajdziemy ci zastępstwo.

Mark prychnął niezadowolony. Angela też prychnęła, chyba nawet głośniej.

- Potrzebuję kogoś, kto zechce być na miejscu - powiedziała. - Jasne, że on nie może.
- To nie jest kwestia chcenia czy niechcenia. Twój obóz to bardzo szlachetna impreza, ale ja nie po to tu jestem.
- Mark nie chce się w nic angażować - zauważyła. Eric z nieznacznym uśmiechem zerknął na Neila,

jakby tę decyzję podjęli jeszcze przed spotkaniem.

- Domyślam się, że nie mam wyboru - mruknął Mark.
- Ależ skąd! Masz wybór. - Eric uśmiechał się szeroko. - Poinformuj Eda Lestera, szefa ekipy technicznej, które twoje rzeczy należy przewieźć do hotelu. - Podał mu swoją komórkę. - Zawiadomiłem go eseme-sem, że przeprowadzamy się jutro rano. Twój pokój w hotelu będzie gotowy.
- Już go poinstruowałeś? - warknął Mark. Eric przytaknął.

- Wyszedłem z założenia, że się zgodzisz.

- Aha, nie zapomnij złożyć zamówienia u Marshy Harding z zaopatrzenia - dodał Neil - żeby dać jej czas na sprowadzenie tego, co może być nam potrzebne. Uprzedziłem ją, że zadzwonisz.

Mark rzucił Angeli spojrzenie pełne goryczy.

- Po to mnie tu zaprosiłaś? Żeby mnie zrobić?

- Wierz mi, to ja zostałam wrobiona. Jeśli sobie wyobrazasz, że mam ochotę pracować z tobą ramię w ramię... - Zawahała się, przypomniawszy sobie sen, w którym pracowali razem, a ona wydawała polecenia. Hm, nie tego się spodziewała, ale może to okazać się całkiem interesujące. - Dobra, może być. Dzieciaki na pewno cię polubią.

Odchylił się w fotelu, odrzucił głowę do tyłu, zamknął oczy, po czym ciężko westchnął i zwrócił się do Neila i Erica.

- Jak tu przyjechałem, ostrzegałem was, że nie zamierzam się angażować w nic, co nie jest szkoleniem ratowników górskich. I czasami mogę zrobić coś na ratunkowym. Nie dotarło to do was? Na jakiej podstawie uważacie, że obarczanie mnie coraz większą ilością obowiązków zmieni moje nastawienie do życia?

Ta tyrada wywołała uśmiezek na wszystkich twarzach, prócz Angeli, która zaczęła się zastanawiać, przed czym Mark chce uciec. Współczuła mu i jednocześnie czuła się współwinna zapędzenia go w pułapkę, tym bardziej że doskonale wiedziała, jak czuje się taki człowiek. Nikomu tego nie życzyła. Ale to nie jej decyzja.

Jeśli Eric i Neil uznali, że obecność Marka w hotelu jest konieczna, to znaczy, że tak ma być, aczkolwiek byłaby zadowolona, mając do pomocy chętnego wolontariusza. Mark zdecydowanie nie był chętny. Oboje nie mają wyjścia. Za to ona jest w bez porównania lepszej sytuacji, bo jej zależy na tym programie, a on tylko liczy dni do wyjazdu.



- Nie musisz się angażować. Wystarczy, że będziesz na miejscu - odezwała się.

Podniósł powieki, przez chwilę wpatrywał się w sufit, by w końcu przenieść wzrok na nią.

- Ha, zaangażuję się tak czy owak. Mimo to na kurs cię nie przyjmę. O to ci chodzi, prawda? Żeby mnie urabiać przez cały tydzień? Ci dwaj po to nas tam wysyłają, żebyś miała okazję mnie przekonać, bo zależy im, żebyś przeszła to szkolenie. Nie naciskają, ale też nie odpuszczają.

- Co takiego?! - Kompletnie zapomniała, że ma świadków. - Cierpisz na taki przerost ego, że uważasz, że mój obóz ma cokolwiek wspólnego z tobą?! Grubo się mylisz! To jest obóz dla dzieci i nie życzę sobie takiego nastawienia. Możesz się wyżyć na mnie albo w pustym pokoju, na Neilu albo na Ericu. Ale nie przy dzieciach.

Najpierw z sali wymknęli się Fallon i James, potem Dinah oraz Walt, ale tego nie zarejestrowała.

- Gdybym miała wpływ na wybór lekarza, na pewno nie wybrałabym ciebie. - Gotowała się. - Nie pochlebiaj sobie, że błagałam Neila i Erica, żeby mi cię przydzielili. To ich wymysł, nie mój.

- Nie powiedziałem, że ich błagałaś - zauważył z błyskiem w oku.

- Dobrali się jak w korce maku - rzucił Eric teatralnym szeptem.

- Dobraliśmy się?! Czy wy wiecie, jaki on potrafi być zgryźliwy?!

- Wiemy. - Neil się uśmiechnął. - I liczymy, że tydzień spędzony wśród dzieci w cudowny sposób odmieni jego usposobienie.

Na tę uwagę Mark gwałtownie wstał.

- Ostrzegam, że w każdej chwili mogę wyjechać. Wsiądę do samochodu i ruszę w stronę dal.

- Ale tego nie zrobisz - stwierdził Eric. - Bo taki nie jesteś.

Angela spodziewała się, że Mark wybuchnie, ale on tylko krzywo się uśmiechnął.

- Największą zaletą przyjaciół jest to, że dobrze nas znają, a ich największą wadą to samo.

- Czyli się nie wycofujesz? - zapytał Eric. - Jak nie chcesz, nie będziemy cię zmuszać. Poszukamy kogoś innego. Powiedz, że nie chcesz, a ci odpuścimy.

- To bardzo wartościowy projekt. - Skłonił się przed Angelą. - Szacunek dla pani kierowniczkę. I cieszę się, że będę miał zaszczyt przez cały tydzień spoglądać na ciebie spod łba. Angela, obiecuję konsekwentnie trzymać się siedemdziesięciu pięciu procent. -Przyłożył rękę do serca. - Przysięgam.

- Żądam pięćdziesięciu. - Uśmiechnęła się łaskawie. Eric i Neil wymienili spłoszone spojrzenia.

- Będzie mu wolno mieć ponurą minę tylko przez połowę czasu - wyjaśniła. - To w mojej obecności, ale przy dzieciach... - Rzuciła mu wymowne spojrzenie. - Będziesz się uśmiechał. Bez dyskusji i bez wyjątku. Przy moich dzieciach musisz być uśmiechnięty.

- W głowie ci się przewróciło? Czy może to zemsta za to, że nie przyjąłem cię na szkolenie? Uśmiechać się przez cały tydzień? Koszmarna tortura!

Na dowód tego uśmiechnął się. Ładnie i ciepło. I chyba szczerze. Za to ona uśmiechnęła się szeroko, po czym włożyła notatki do teczki i ruszyła do wyjścia. Mijając go, przystanąła, żeby poklepać go po plecach.

- Dobra robota.

Potem zasiadła nad wprowadzaniem zmian do diety Scotty'ego Baxtera, ponieważ chłopiec zamiast jeść brokoły, jadł batoniki, a zamiast owoców lody. Uparciuch. Pierwszy podopieczny Marka. Uznała, że są siebie warci.

- Ona jest nadzwyczajna - szepnęła Dinah, gdy stały nad łóżeczkiem, przyglądając się śpiącej Sarah. Dinah i Angela zaglądały do żłobka co najmniej raz na godzinę. - Kocham moje dziewczynki, ale nie mam własnego dziecka...

- Czujesz, że nadszedł czas?

- Rozmawialiśmy o tym z Erikiem. Myślę, że jak ruszy szkolenie Marka, Eric będzie miał trochę więcej wolnego czasu. Taki mamy plan.

- Ale Mark tu nie zostanie. Eric będzie musiał szukać następcy wielkiego doktora Andersona.

- Między nami mówiąc, myślę, że Eric ma nadzieję, że Mark zostanie. Twierdzi, że nie zna lepszego lekarza i bardzo by chciał oddać mu ratunkowy, żeby wrócić do ukochanej chirurgii dziecięcej. Wyjawię ci jeszcze jeden sekret, jak siostra siostrze - mówiła Dinah. - Czuję, że obaj z Neilem mają chrapkę na oddzielny szpital dziecięcy albo przynajmniej na przekształcenie tego z myślą o pediatrii i wybudowanie oddzielnej placówki dla dorosłych. Gabby ma swoją klinikę dla kobiet i to chyba ich mobilizuje.

- Fantastyczny plan.

- I odległy - zauważyła Dinah. - Dlatego chcielibyśmy mieć dziecko raczej prędzej niż później. Bo potem Eric będzie bardzo zajęty, znasz go. Jak się czegoś podejmie, to na całego.

- Ale Mark wyjedzie. Wiem to od niego. Tak mu się tu nie podoba, że nie rozumiem, po co w ogóle tu się pojawił. Nie wiem, jaki wpływ mają na niego Eric i Neil, ale mnie powiedział, że liczy dni do wyjazdu. Podejrzewam, że ostatniego dnia da nogę, aż się będzie za nim kurzyło.

Dinah westchnęła.

- Tak, słyszałam. Ale Eric i Neil nie biorą tego pod uwagę. Może to tylko ich myślenie życzeniowe.

Mała Sarah otworzyła oczy i uśmiechnęła się do mamy, po czym wyciągnęła do niej rączki.

- Czy można się temu oprzeć? - Angela wzięła ją na ręce. - Wypałaś się, zabko? Mamusia ma dla ciebie coś dobrego. - Ulubiony jogurt Sarah z bananami i morelami. - I ma tyle wolnego czasu, że sama cię nakarmi. - Mimo że dziewczynka miała już rok i chciała jeść samodzielnie, Angela nie była na to przygotowana. Robiło się jej smutno na myśl, że jej córka chce już sama poznawać świat. - Dinah, powiedz Ericowi, żeby przestał gadać i wziął się do roboty. Pora, żebyś miała dwójkę albo trójkę własnych.

- Wystarczy jedno albo dwoje. - Z tym słowami Dinah opuściła żłobek.

Angela obiecała opiekunce, że wkrótce wróci, po czym ruszyła z Sarah korytarzem, śpiewając dziewczynce jej ulubioną piosenkę. Skręciwszy za magazynem produktów spożywczych, niemal wpadła na Marka.

- Ładna melodia - powiedział, wpatrując się w Sarah, nie w Angelę.

- Szukałeś mnie? Mój pokój jest mało reprezentacyjny, nadaje się najwyżej do podejmowania dostawcy pieczywa.

Wyciągnął przed siebie tackę.

- Twój pokój był zamknięty, więc nie mogłem ci jej zostawić. Jak na resztki, szarlotka była całkiem niezła. Dokończyłem ją na lunch. Uważam, że powinna znaleźć się w twoim cukrzycowym jadłospisie.

- Zabrałeś połowę szarlotki! - Mocno trzymała Sarah, która zaczęła się jej wrywać.

- I zjadłem ją na lunch. Bardzo przyjemnie jest dla odmiany zjeść posiłek w postaci domowego wypieku.

- Szarlotka to nie posiłek. I na obozie na pewno nie będziesz tak się odżywiać. Nie tam, gdzie ja będę usiłowała nauczyć dzieci jadać zdrowo.

- Obóz... hm. Masz śliczną córeczkę. Zostawisz ją, żeby zająć się obozem? Nie będziesz za nią tęsknić? -Pogłodził Sarah po policzku. - A ona nie będzie tęsknić za tobą?

Angela się uśmiechnęła.

- Miły jesteś, ale nic z tego. Obóz dojdzie do skutku. I ja będę miała mnóstwo czasu dla mojej córeczki, bo na miejscu zorganizowałam dla niej opiekę jak tutaj, w szpitalu. Starasz się, a ja to sobie zapamiętam.

- Taaa... - powiedziała Sarah, wpatrując się w Marka i wyciągając do niego rączki.

Mark się cofnął.

- Chyba chce, żebyś ją wziął na ręce - zauważyła Angela.

- Domyślam się - powiedział, robiąc kolejny krok do tyłu. - Ale wbrew temu, co ona sobie wyobraża, nie jestem jej taaa. Poza tym nie biorę dzieci na ręce, chyba że są to chore dzieci.

Niespieszona podała mu Sarah.

- A ja chcę oszczędzić jej rozczarowania. Nie wiem, dlaczego wymyśliła, że jesteś jej tatą. Jestem zdziwiona, że zna pojęcie taty. Ale najwyraźniej zna, więc myślę, że mimo wszystko powinieneś ją wziąć na ręce.

Jego przerażenie ją rozbawiło. Równie zabawne było to, jak jej córeczka się wyrывa, żeby Mark wziął ją na ręce. Nie wiadomo, dlaczego mała zapalała to niego wielkim afektem. Czy to znak na przyszłość?

Co takiego jest w tej Angeli? Jest taka krucha, a jednocześnie taka silna i try-skająca energią. Prawdę mówiąc, trochę się tego bał. Nie dlatego, że przeczuwał gorący romans albo wielką przyjaźń. Bał się jej entuzjazmu, którym zarażała otoczenie. Bo najbardziej bał się entuzjazmu. W jakiegokolwiek sprawie.

Mimo to znalazł się w jej koszmarnym gabinecie. Dawno nie widział tak koszmarnego biura. I teraz karmi dziecko jogurtem. Nie miał pojęcia, jak do tego doszło. Chciał oddać tackę, a teraz cały jest pochłapany jogurtem, bo Sarah uparła się walczyć z nim o łyżeczkę. I wygrała.

- Musisz mieć lepszy pokój - stwierdził, kurczowo ściskając kubeczek, by Sarah mu go nie odebrała. Wojownicza jak matka. - Następnym razem daj mi jakąś serwetkę.

- Mnie tu dobrze. Blisko kuchni. I mam oko na dostawców. Serwetka na nic się nie przydaje, jak Sarah ma ochotę zawalczyć o samodzielność. - Uśmiechnęła się. - Lepszy byłby sztormiak.

- Muszę wracać do pracy. - Sarah jest zbyt słodka. Przypomina... lepiej o tym zapomnieć. To już przeszłość. Spróbował oddać Sarah Angeli, ale mała energicznie zaprotestowała. Prawdę mówiąc, wcale nie chciał się od niej uwolnić. Miło było trzymać ją na kolanach. W innym układzie nie miałby nic przeciwko temu, żeby być ojcem dziecka w tym wieku.

- Ona cię uwielbia - zauważyła Angela. - Zobacz, jak jej u ciebie dobrze. Na twoim miejscu bym jej nie ruszała, bo to może zaburzyć jej trawienie. Cieszy mnie... że tak łatwo nawiązuje kontakt, że jest taka przyjazna.

- Masz obsesję na punkcie trawienia? - Sarah skorzystała z okazji, żeby oblać go jogurtem.

- Do twarzy ci w tym kolorze! - roześmiała się Angela, w końcu zabierając Sarah. - Nie mam obsesji na punkcie trawienia, ale dbam o nie. Ty, oczywiście, wyklucasz taką możliwość, że dyplomowana dietetyczka może mieć jakieś pojęcie o leczeniu - posadziła Sarah w kojcu i podała jej pluszaka - więc nie będę ci niczego tłumaczyć.

Podszedł do kojca i pochylił się, żeby pocałować dziewczynkę.

- Następnym razem, młoda damo, porozmawiamy o zachowaniu podczas jedzenia.

Sarah wyciągnęła do niego rączki, zagadała niezrozumiale, kończąc tę wypowiedź:

- Taaa...

- Mama - poprawił ją. - Chcesz do mamy. Nie.

- Taaa... - upierało się dziecko.

- Uparta jesteś - roześmiał się. - Jak mama.

- Jej mama pragnie ci podziękować za poświęcenie - odezwała się Angela.

Uścisnął pulchną rączkę Sarah, po czym zwrócił się do Angeli.

- Za jakie poświęcenie?

- Za ten jogurt.

- Ha! Już obiecałem twojej córce, że następnym razem poważnie porozmawiamy o zachowaniu się przy stole.

Co jest w tej kobiecie, że on się cieszy, że tu zaszedł i że przegrał bitwę o łyżeczkę? Wolał nie szukać odpowiedzi. Zmarnował pięć lat, żyjąc z kobietą, która go zauroczyła, by odkryć, że to pomyłka. To prawda, że śmierć jej ojca im nie pomogła. Problem jednak w tym,

że sam się o to prosił. Pozwolił, żeby złudzenia przesłoniły mu zdrowy rozsądek.

Tym razem nie da się omamić. Tak, kobiety są w porządku, zwłaszcza gdy nic nas z nimi nie łączy. Następnym razem, gdy zjawi się taka, która zechce owinać go sobie wokół palca, błyskawicznie zwinie manatki i zwieje. Niezależnie od zobowiązań, niezależnie od przyjaciół. Szkoda zachodu. Prawdę mówiąc, teraz boi się tego bardziej niż przedtem, a małżeństwo z Norah Evigan było ponurym doświadczeniem.

To nie ma nic wspólnego z Angellą. Zaczyna się od tego, że Angella nie jest w jego typie.

- Manometria przełyku - rzucił, kierując się do drzwi. - To takie badanie, które umożliwia zlokalizowanie źródła problemów w górnych partiach przewodu pokarmowego.

Gdy wychodził, Angella przyglądała mu się z dłońmi splecionymi na kolanach. Pewnie się zastanawiała, jak wymusić na nim to, na czym jej zależy.

Nie zobaczył jednak, zamknąwszy za sobą drzwi, jak błyskawicznie rzuciła się do zeszytu, by skwapliwie zapisać nowy termin medyczny.



## ROZDZIAŁ PIĄTY

- Czy ty potrafisz odpoczywać? - Stał pod ścianą z Fredem pod pachą i obserwował, jak Angela biega między zebranymi w holu ochotnikami.

Od tygodnia pracowała na wysokich obrotach, a do tego jak zawsze udzielała się w szpitalu. Miał wrażenie, że widzi ją wszędzie, gdzie się pojawi. Peszyło go to. Nie dlatego, że tak często ją spotykał, ale że robiła wszystko dwa razy szybciej niż ktokolwiek inny. I jeszcze prawie codziennie coś piekła dla wolontariuszy.

Czuł się jak żółw, który ściga zająca.

- Wieczorem, z Sarah - powiedziała, zatrzymując się na moment, by pogłaskać Freda.

Bezwiednie chwycił ją za ramię.

- Angela, zwolnij trochę, bo to tempo cię zabije i już nic nie zrobisz.

- Po co? - rzuciła zirytowana, że ją zatrzymuje. - Żebyś mógł mi dotrzymać kroku?

- Ups, zapomniałem, że masz cięty język. Przyznam, że od kiedy jesteś taka zajęta, trochę mi tego brakuje.

- Na pewno nie. - Nieco się zrelaksowała.

- Dobra, nie brakowało mi ciętego języka, lecz jego właścicielki, a prawdę mówiąc, niepokoi mnie to twoje tempo. Urządzasz hotel dla obozowiczów, pracujesz w szpitalu i jeszcze pieczesz ciastka. Czy już mówiłem, że najbardziej smakują mi te z cukrem? Angela, tak nie można.

- To jest opinia lekarza czy faceta, który nie może za mną nadążyć? - Nie uśmiechała się, ale w jej oczach tańczyły wesole iskierki. Kilka figlarnych, większość... wyzywających. Jakby rzuciła mu wyzwanie, a on poczuł, że miałby ochotę lepiej ją poznać. Niedorzeczny pomysł.

- Uważasz, że cię nie dogonię?

- A potrafisz?

- Zrobiłem, co do mnie należało. Zorganizowałem gabinet, zamówiłem potrzebne środki, po raz piąty wyprowadziłem Freda, przejrzałem wspólnie z Waltem zasady działania, przesłuchałem troje kandydatów na szkolenie, opowiedziałem dwojgu rodzicom o twoim obozie i kupiłem nowy worek karmy dla psa.

- Łatwizna, doktorze. Ile ci to zajęło? Dwie godziny, trzy? Ile czasu spędziliście z Fredem w bibliotece podczas popołudnia bajek?

- Kurczę, ale to miasteczko jest małe. Cokolwiek człowiek zrobi, natychmiast się rozniesie. - Tak, był z Fredem w bibliotece, wielka sprawa. - Poprosił mnie pan Whetherby, a że akurat nie byłem zajęty...

Popatrzyła na niego, uznała jego zwycięstwo w tej potyczce, po czym się uśmiechnęła.

- To ładnie. Zawiadom mnie, kiedy będziesz tam znowu, to przyjdę z Sarah.

- Zakładasz, że znowu tam pójde?

- Zakładam, że nie sprawisz zawodu dzieciom.

- Nadmiar założeń bywa zgubny - ostrzegł ją.

W rzeczywistości obiecał drugą wizytę Freda w bibliotece, ale moment później tego pożałował. Nie dlatego, że było to zobowiązanie, ale dlatego, że wyglądało na nawiązywanie więzi z White Elk. Miał wrażenie, że robi to na każdym kroku.

- Zgubny dla kogo?

- Lepiej mi powiedz, co mam teraz robić - zirytował się. - Daj mi listę i pozwól ją zrealizować.

- Mark, to bardzo ładnie z twojej strony. Nie wypieraj pozytywnych emocji płynących z dobrych uczynków.

- Masz dla mnie listę? - Wyciągnął rękę, więc mu podała kartkę. Z uśmiechem. Prawdopodobnie wyczuła jego wewnętrzny konflikt. I być może w przewrotny sposób to doceniła.

- To jest zamówienie na żywność. Samochód dostawczy już tu jedzie. Idź do kuchennych drzwi, przyjmij ich, sprawdź wszystko z listą i ustaw w magazynie.

- Jak mam to ustawić?

- Do tego też jest lista.

- Jasne. - Zerknął na kartkę. - To znaczy, że mam wszystko po kolei odhaczyć na tej liście, a potem poi ustawiać według drugiej. Czy ty masz też listę list? Żeby wiedzieć, z którą listą masz pracować, a które masz dopiero napisać?

Nie obraziła się.

- Wiesz co? To jest genialny pomysł - odparła z błyskiem w oku. - Wpiszę go na listę rzeczy do zrobienia.

- Znalazłem się na którejś? Na liście rzeczy do zdobycia?

- Być może.

- Na tej optymistycznej czy tej pesymistycznej?

- Tej rzeczy mgławicowych.

- Uważasz, że jestem mgławicowy? Przytaknęła.

- Robisz dobre rzeczy, ale nie chcesz, żeby ktokolwiek o tym wiedział. Potrafisz współczuć, ale to starannie ukrywasz. I tak naprawdę to chcesz się angażować. Przykładem może być przygarnięcie Freda. Ale masz to innym za złe, mimo że nie jesteś zrzędą. Chyba raczej jesteś zaaferowany. I odpowiada ci to, że ludzie mają cię za malkontenta. Tak, to bardzo mgławicowa lista.

- I beznadziejnie nudna. Trzymając się tego, zapytam Emoline, czy zabierze dzisiaj do siebie Freda, bo nie wiadomo, ile zajmie mi organizowanie twojego magazynu. Potem się tam zadekuję, nim dojdiesz do jakichś pokrętnych wniosków po tej psychoanalizie. Ale zanim pęknie mi krzyż od dźwigania twoich zapasów, stawiam warunek. Mówię to poważnie.

Otrząsnęła się teatralnym gestem.

- Nie wiem, czy chcę to usłyszeć.

- To nie takie straszne. No i w twoim interesie.

- Trudno mi w to uwierzyć. Tym bardziej że wiem, że wolałbyś tu nie być. Słucham, co to za warunek?

- Kolacja.

Zamrugnęła powiekami.

- We dwoje?

- Po prostu kolacja. Może być we troje, jeśli nie masz co zrobić z Sarah. - Spojrzał na zegarek. - Za trzy godziny. Musisz odsapnąć. Jeden sposób to taki, że cię uspię, drugi, że zabiorę cię na kolację. Bo jak chcesz poświęcić się obozowi, który startuje za kilka dni, to musisz być wypoczęta. Dzieciom się to należy. Tobie też. Więc wybieraj: środek uspokajający czy kolacja?

Aha, będziemy rozmawiać wyłącznie o obozie. Mam kilka pomysłów, które chcę ci przedstawić.

- To nie będzie randka, ale spotkanie robocze?

- Tak.

- Czy mogę to dopisać do tej listy mgławicowej?

- Pod warunkiem że zgodzisz się na kolację.

-Okej. Poproszę Dinah, żeby wzięła Sarah. Ale za cztery godziny, nie za trzy. Coś ugotuję.

-Zależy mi, żebyś się rozluźniła.

- Gotowanie mnie relaksuje. Przy okazji wypróbuję-hotelową kuchnię.

- Zgoda, możesz coś ugotować. Za trzy i pół godziny.

Gdy podała mu rękę, nieoczekiwanie przeszył go dreszcz. Sądząc po wyrazie jej twarzy, też to poczuła i też się tego nie spodziewała.

- Wyładowania elektrostatyczne. - Wytarła dłoń w dzinsy. - To się tu często zdarza, zwłaszcza w zimie, kiedy spada wilgotność.

- Wyładowania - powtórzył. - Albo... - Nie dokończył, bo nie chciał tego nawet brać pod uwagę,: nawet w przypadku kobiety tak atrakcyjnej jak Angela. Starał się nie patrzeć na jej obcisłe dzinsy i różowy sweterek.

Dwadzieścia minut później dyrygował rozładowywaniem ciężarówki z pro- wiantem, starając się zapamiętać kolejne zgrzewki, skrzynki i worki. Cały ten transport żywności kojarzył mu się z Angellą, a Angella przypominała mu... nie, nie przypominała żadnej innej kobiety w jego życiu.

Kłopot polegał na tym, że oprócz byłej małżonki, niezapomnianej z wielu nieprzyjemnych powodów, o wszystkich innych kobietach zapomniał komplet- nie. Niedobrze, że będzie dla niej ustawiał na półkach puszki z tuńczykiem. Zde- cydowanie niedobrze.

- Bardzo ładnie - powiedziała, zagładając do magazynu jakiś czas później.

- Bardzo ładnie? Tylko tyle masz mi do powiedzenia? Haruję tu od godziny, odhaczając, co przywieźli, a potem ustawiam to na półkach. I robię to według własnej listy, nie tej twojej. - Na dowód podsunął jej pod nos kartkę zapisaną nieczytelnymi bazgrołami.

- Naiwny, myśli, że jego lista jest lepsza od mojej -prychnęła rozbawiona. - Potrafisz przeczytać, co napisałeś?

- Mam bardzo czytelne pismo. Wyrwała mu kartkę z ręki.

- Wygląda jak doktorska bazgranina. Co tu jest napisane?

Spojrzał na kartkę.

- Postawić... hm... - Ściągnął brwi. - Postawić majonez na górnej półce.

- Nie zamawiałam majonezu. Sama go robię. Zdecydowanie zdrowszy od sklepowego. - Uśmiechnęła się. - A na górnej półce widzę tylko ryż, który powi- nien stać na dole, bo jest ciężki.

- Ryż, oliwa, majonez. - Wzruszył ramionami. - To bardzo dobra lista. Rozej- rzyj się. - Odsunął się, żeby jej nie zasłaniać.

Faktycznie, wszystko pięknie poustawiane. Jak w prawdziwym sklepie. Duże puszki, duże słoje, duże kartony. Zauważyła, że wszystkie są ustawione etykietą do przodu. Stały tak równo, że Mark chyba posłużył się linijką. Tylko kilka rzeczy wymagało zmiany miejsca.

- Cierpisz na zachowania kompulsywne? - zapytała, dotykając słoja z korniszonami.

- Nie ja tu jestem kompulsywny, ale wiem, że gdybym nie poustawiał tego równo, pewna kompulsywna osoba kazałaby mi to poprawiać. - Pochylił się, przykładając rękę do krzyża i krzywiąc się boleśnie. - Jestem wykończony. I głodny.

Roześmiała się.

- Poczucie władzy jest bardzo przyjemne.

W odpowiedzi przekręcił słoje z ogórkami tak, że etykieta przestała być widoczna.

- Przeciwwstawianie się jej też.

- Lubisz się przeciwstawiać.

- Przede wszystkim wtedy, kiedy widzę, że system wymaga korekty.

- Uważasz, że dobrze mi zrobi, gdy ktoś mi się przeciwstawi?

- Uważam, że to ty uważasz, że wszystkich należy zmieniać. Ja tylko naśląduję mistrza.

Zdawała sobie sprawę, że on ma rację. Ale na swoją obronę miała to, że musiała taka się stać, by wytrzymać z Bradem. Kochanie niewłaściwego człowieka jest bardzo wyczerpujące, a gdyby się zrelaksowała, gdyby się nie stawiała... nie

wyzwoliłaby się od niego taka silna. Musiała być silna dla Sarah, by nie dołączyć do rzeszy ofiar, które przestały wiedzieć, kim są.

- W pewnych sytuacjach człowiek jest zmuszony walczyć - powiedziała. - Wtedy to ma sens.

- Angela, czy nie byłoby lepiej znaleźć się tam, gdzie nie trzeba walczyć? - Spoważniał.

- A ty tam jesteś?

Nie. Miał to wypisane na twarzy, gdy nie udawał, że jest sympatyczny.

- Jestem w magazynie z piękną kobietą, która szczyci się tym, że nie trafia w sedno sprawy.

- Ty możesz się bawić w mojego psychoanalityka, a ja nie mam do tego prawa? - Dotknęła czegoś, o czym inni być może wiedzieli, ale jej o tym nie powiedział. Mimo to bała się tej wiedzy, bo mogłaby przenieść ich znajomość na inną płaszczyznę, a tego sobie nie życzyła.

- Coś w tym stylu. Gdybyś teraz na mnie popatrzyła, zobaczyłabyś, że znowu jestem skrzywiony. Ale to dlatego, że już jestem po pracy, a jak jestem po pracy, to jestem niezadowolony.

Dzięki Bogu zmienił temat. Teraz są znowu na poprzedniej płaszczyźnie, na której mogą się droczyć, nie wyrządzając sobie krzywdy.

- Masz spore doświadczenie na tym polu - zauważyła.

- Angela! - wołał Ed Lester z korytarza. Zajrzał do magazynu. - Przywiozłem laptopy, dar od Edith Weston.

- Wstaw je do głównego magazynu - rzuciła, po czym odwróciła słój z korniszonami.



W tej samej chwili Ed zatrzasnął drzwi, automatycznie gasząc światło w magazynie.

- Zaplanowałaś to? Zapłaciłaś mu, żeby nas tu zamknął?

- Jasne. - Po omacku szukała na ścianie włącznika. - To był ten prawdziwy motyw, żeby zostać sam na sam z tobą w ciemnościach.

- Nie raz tak się zdarzyło - odparł rozbawiony. - Nie szukaj kontaktu, bo jest na zewnątrz.

Westchnęła głośno, kierując się do drzwi i omijając;; kartony ustawione pod ścianą. Kierowała się wyłącznie smugą światła wpadającego przez szparę pod drzwiami.

- W tej chwili marzę o *linguini*, krabie i sosie alf-redo. Do tego sałata *romaine*. Żadne tam krakersy. -Dotarła do drzwi, nacisnęła klamkę i...

- Niech zgadnę. Zamknięte.

Podszedł bliżej, jakby to mogło cokolwiek zmienić.

- Zamknięte od zewnątrz - denerwowała się Angela. - Jak kontakt. Jak można tak zorganizować magazyn żywności? To jest nowa instalacja. Ktoś powinien... - Szarpnęła klamkę.

Położył jej rękę na ramieniu.

- Boisz się ciemności?

- Nie.

- Masz klaustrofobię?

- Nie!

- To się uspokój. Wezwę kogoś, żeby nas uwolnił. - Wyjął komórkę. - Nie ma zasięgu...

Tego było już za wiele. Nie, nie wpadła w panikę, po prostu nie miała czasu na takie rzeczy. Poza tym, gdyby im przyszło spędzić tam całą noc, nikt by nie zauważył ich nieobecności. Nawet Dinah. Siostra snułaby domysły... Na myśl o nich Angela zaczęła tłuc pięściami w drzwi.

- Pomocy! Niech nas ktoś uwolni! Jesteśmy w magazynku. Wypuście nas!

Pół godziny później mimo jej obolałych pięści i zdartego gardła w dalszym ciągu siedzieli w pułapce.

- Masz jakiś pomysł? - zapytała, osuwając się obok Marka na podłogę.

- Trzeba czekać.

- Też mi rada!

- Jak mi dasz jakieś narzędzia, to mogę spróbować zdjąć drzwi z zawiasów. Chyba że zawiasy też są na zewnątrz.

- To jest jakieś rozwiązanie. Ale nie ma narzędzi. Parsknęła gniewnie. - Po szóstej, już wszyscy wyszli.

- Na pewno ktoś sobie o tobie przypomni, jak nie przyjedziesz po Sarah. I zaczną cię szukać. Na razie nie pozostaje nam nic innego, jak się zrelaksować. Odpocząć, może zdrzemnąć. Podejrzewam, że ty nigdy nie uczynisz sobie drzemki.

- Nie chcę ucinać sobie drzemki!

- Rób, jak chcesz. Ale tu jest za mało miejsca, żebyś mogła chodzić jak tygrys w klatce. Jak nie masz jakiegoś magicznego pomysłu na kolację, jesteś skazana na bezczynność.

Sięgnęła na półkę po paczkę precelków i nią w niego cisnęła.

- Kolacja podana - mruknęła. - Smacznego.

Gdyby nie to, że podłoga była twarda, a towarzyszka nietowarzyska, sytuacja nie byłaby taka zła, ale bolał go krzyż od dźwigania ciężarów, a zimny beton pod siedzeniem dodatkowo pogarszał mu nastrój. Na dokładkę Angela od godziny siedziała w odległym kącie i tylko od czasu do czasu ciężko wzdychała.

Było jeszcze coś... Od tygodnia nie miał kontaktu z pacjentami i czuł, że mu tego brakuje. Owszem, zamierzał rozstać się z leczeniem, więc tęsknota za oddziałem zaskoczyła go tym bardziej.

- Kiedy? - zapytał.

- Co kiedy?

- Kiedy Dinah albo Eric zaczną się niepokoić? Koło siódmej.

- To już niedługo. Jest trochę po siódmej, więc na pewno wkrótce zaczną cię poszukiwać.

- Rano. O siódmej rano.

- Żartujesz.

- Chciałabym, ale to prawda. - Nie miała najmniej szych wątpliwości, jak Dinah zinterpretuje ich nieobecność. - Sarah u nich nocuje, więc...

- Więc jeśli nie uwolni nas jakaś biała dama nawiedzająca ten przybytek, przesiedzimy tu całą noc.

- Calutką.

- Mogło być gorzej.

- Jak to?

- Moglibyśmy uwięzić w jaskini albo gdzieś w śniegu. Spędziłem kilka takich koszmarnych nocy ni bardzo świeżym powietrzu. W niewyobrażalnych warunkach. Tutaj mamy prele. - Zaszeleścił opakowaniem. - Jak znajdę wodę, będziemy mieli kolację.

- Chyba wolę, jak jesteś nadęty - mruknęła. - B( wtedy przynajmniej wiem, czego się spodziewać. Sprawiasz wrażenie... zadowolonego. Jakbyś to zaplanował.

- W trakcie szkoleń zawsze podkreślam, że w trudnych sytuacjach trzeba robić dobrą minę do złej gry Marudzenie, nerwowe chodzenie, zamartwianie się... to wyczerpuje. Jak się człowiek przejmuje niesprzyjający mi okolicznościami, to się rozprasza, a podczas akcji ratunkowej to niedopuszczalne. Nie ma od tego żadnych wyjątków.

- Potrafisz trzeźwo myśleć w trudnej sytuacji? O puszczasz się z jakiejś ściany i nagle gdzieś utkniesz wiesz i ani do góry, ani na dół, do ziemi daleko, a szczyt | ginie w chmurach. Możesz z ręką na sercu powiedzieć, ! że taka sytuacja nie wytrąca cię z równowagi?

- Mam ci zrobić wykład na ten temat? Będzie krótki i rzeczowy. To, co powiem, ratuje człowiekowi życie.

- Byłeś w takiej dramatycznej sytuacji?

- Raz.

- I nie spanikowałeś.

- Wiedziałem, co robię.

- Więc poproszę o ten wykład. O tym, jak utknąłeś na ścianie i zachowałeś zimną krew.

- Na początek uwaga o sprzęcie. Wspinając się, używam przyrządu asekuracyjnego ATC, nazywam go kontrolerem ruchu powietrznego. Jest idealny do wybierania i wydawania liny podczas asekuracji, nie ma ruchomych części, jest lekki, tani oraz bezpieczny, jeśli się wie, jak go używać.

- O co chodzi z tą asekuracją?

- To różne techniki, które zabezpieczają wspinacza przed skutkami odpadnięcia od ściany.

- Słusznie.

- Zwłaszcza jak się odpadnie.

- Odpadłeś kiedyś?

- Owszem. Leciałem z wysoka i było to bolesne.

- Zdaje się, że nie rozmawiamy o wspinaczce -mruknęła.

- Hm, wspinaczka jako alegoria życia? Człowiek walczy, żeby osiągnąć szczyt, a jak już się tam dostanie, to ma nadzieję, że nie spadnie. Jedno potknięcie...

- Mówisz jak prawdziwy cynik... o życiu, nie o wspinaczce.

Westchnął głośno.

- To nie cynizm, tylko doświadczenie. Wspinaczka! jest bardziej przewidywalna. Jak w górach trzymasz się zasad, masz duże szanse, a jak w życiu trzymasz się zasad... to nigdy nie wiadomo, co cię spotka.

- I dlatego rezygnujesz z medycyny? Bo życie jest nieprzewidywalne?

- Można to i tak ująć.

- Ale jesteś świetnym lekarzem. Eric i Neil nie mogą się ciebie nachwalić. Tak jak zająłeś się Sarah po tej lawinie...

- Nic jej nie było - wszedł jej w słowo. - Za każdym razem, kiedy przywoziłaś ją na oddział.

- Masz rację. Ale przypomnij sobie, jaką wykazałeś cierpliwość wobec jej przerażonej matki.

- Jesteś po prostu dobrą matką. Pracowałem kiedyś w jednym z największych szpitali w Kalifornii i nieraz miałem do czynienia ze złymi matkami. Takimi, którym dzieci przeszkadzały, które nie dbały o ich zdrowie albo w ogóle je zaniedbywały. Nie mogę mieć za złe matce, która przychodzi z dzieckiem do lekarza częściej niż to konieczne.

- I dlatego chcesz rzucić medycynę? Wypaliłeś się z powodu zła, które tam widziałeś?

- Nie, bo zajmowałem się kimś, kto wymagał pomocy. Lubię to. Muszę rozstać się z medycyną, bo wykazałem się karygodnym brakiem rozeznania i zabiłem teścia.

Angela wstrzymała oddech.

- Domyślam się, że to nie koniec tej historii - powiedziała po chwili.

- Nie ma żadnej historii. Wracaliśmy z bankietu wydanego na jego cześć. Był cenionym i kochanym kardiochirurgiem. Wtedy lekko wstawionym. Wiozłem jego i moją żonę. Nie byłem w lepszym stanie niż on. Nie piłem, ale byłem po bardzo ciężkim dyżurze. Ledwie trzymałem się na nogach. Nie chciałem jechać z nimi na to przyjęcie, ale... pojechałem. Rozsądek mnie zawiódł.

Kiedy przyszło wracać do domu, zorientowałem się, że teść nie może prowadzić, a moja żona... Lubiła wygody, a ja się nie sprzeciwiałem. Dla świętego spokoju. Tego wieczoru była zmęczona, więc usiadłem za kierownicą. Nie zasnąłem, ale walczyłem z sennością.

Miałem spowolniony czas reakcji. Tamten kierowca zignorował znak stopu i uderzył w bok naszego samochodu. Być może gdybym był w lepszej formie, to bym go zauważył, ale cóż... Miałem tylko wybity bark od pasów. Krótko mówiąc, zginął teść.

- To był wypadek. Nie ty zawiniłeś.

- W tym rzecz, że zawiniłem. Nie byłem sprawcą wypadku, ale jestem chirurgiem, a źle oceniłem jego obrażenia. Wydawało mi się, że nie ucierpiał. Robiłem, co mi kazał. Zająłem się jego córką.

- Mark, każdy ojciec by sobie tego życzył - szepnęła.

- Był dobrym człowiekiem. Nie zasłużył na taki koniec. To tyle. Zrezygnowałem z pracy w szpitalu, chciałem robić co innego i akurat wtedy Eric i Neil ściągnęli mnie do White Elk. - Roześmiał się gorzko. - Poprosili mnie o przyjacielską pomoc, a ja się zgodziłem. Wiem, że obaj liczą, że zostanę tu dłużej, zmienię zdanie, ulegnę czarowi tych cholernych Trzech Sióstr. Ale to nie oni żyją z tą świadomością, nie im staje przed oczami obraz mojego konającego teścia. Był wstrząśnięty. Nie przerażony, nie zły, tylko...

Zastanawiała się, jak się zachować. Dać mu spokój? Pocieszać? W ciemnościach możliwości miała ograniczone.

- Nie wiem, co powiedzieć - wyznała po chwili - boi słowa chyba ci nie pomogą. To kwestia czasu oraz; akceptacji, że jesteś tylko człowiekiem. Ale teraz...

Roześmiał się, rozładowując napięcie.

- Czy to nie pora, żebyś mnie przytulila i żebyśmy...

- Seks z litości? - prychnęła. - Były mąż mi uprzytomnił, że, jeśli wcześniej nie było dobrze, to seks nie jest żadnym remedium.

- Nie jesteśmy dobrzy?

Byli. Lepszy niż się jej wcześniej wydawało, ale głośno tego nie powiedziała. Bez trudu wyobraziła sobie, że mogłaby ulec, znaleźć się w jego ramionach. Poczuli, że tętno jej przyspiesza.

- Opowiedz mi więcej o asekuracji.

Posłusznie podjął ten wątek, wyjaśnił, na czym polega asekuracja, omówił sprzęt, jego działanie i rolę asekurującego.

- W rezultacie wspinacz, który odpadł od ściany, zawisa na linie. To może być bardzo bolesne, ale żyje.

- Szkoda, że w życiu nie ma takiej asekuracji - westchnęła. - Prędzej czy później każdemu by się przydała. - W jej przypadku zdecydowanie prędzej. Natychmiast.



## ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Mam nadzieję, że to twój łokieć - mruknęła, ziewając. Zerknęła na komórkę, by zorientować się, która godzina. Za wcześnie. Obsługa hotelu jeszcze nie przyszła. Po chwili dotarło do niej, że spała wtulona w Marka.

- Twój - odparł. - Wbijasz mi go w żebra.

- Nie, to ta puszka z oliwkami, którymi się pożywialiśmy. - Wcale nie miała ochoty na zmianę pozycji. W pewnym sensie bardzo wygodnej.

Bezwiednie dotknęła szyi Marka, by poczuć jego puls, bo jeszcze trochę zaszpana, z uchem przy jego piersi, słyszała, jak pracuje jego serce. Tętniło ze zdumiewającą siłą.

- Co robisz? - zaniepokoił się.

- Liczę tętno.

- Okej, ale po co?

- Dlaczego nie? Czuję pod palcami twoją siłę życiową. Niesamowite. Takie...

- Jakie?

- Takie... seksowne. - Przesunęła dłoń wyżej.

- Pierwszy raz słyszę, że tętno bywa seksowne.

- No, może nie seksowne, ale...

- Nie! Seksowne mi się podoba.

Wbrew sobie wyprostowała się i usiadła. Nawet nie podejrzewała, że erotyczna pokusa może być tak silna. Jeśli kiedykolwiek jej ulegnie, to z kimś... wyjątkowym. Brad nie miał jej do zaoferowania nic wyjątkowego. Chodziło mu wyłącznie o jego własną wygodę, a ona zgrzeszyła naiwnością, tak że z czasem straciła na to ochotę.

- Chcesz wody? Może precelka albo oliwkę?

- Moja obecność cię krępuje, prawda? W pracy jest w porządku, ale ta sytuacja cię peszy.

- Trochę - przyznała. - Moje małżeństwo było, mówiąc najogólniej... znośne. Brad rzadko bywał w domu, więc nie musiałam codziennie wysłuchiwać o jego sukcesach. Chyba wręcz nie zdawałam sobie sprawy, że żyję pod kloszem. Nie wiem, czy cokolwiek by się zmieniło, gdybym znała prawdę, bo nie byłam gotowa nic zmienić. Nawet gdy się dowiedziałam, że mnie o-szukuje. To już przeszłość, ale wiem, że przestałam być sobą, żeby go odzyskać. Pewnego dnia dowiedziałam się, że jestem dla niego za stara i że muszę się ustątkować. Ja, nie on. Innymi słowy, on sobie nie życzy, żeby włączyła się za nim stara żona.

- Stara? Przyjrzał ci się dobrze? Każdy mężczyzna przy zdrowych zmysłach byłby zaszczycony, mając cię u boku.

- Miło to usłyszeć. Poczułam wtedy, że nadchodzi to, co nieuchronne. Ale pojawiła się Sarah i wszystko się odmieniło. Oprócz Brada.

- Domyślam się, że nie chciał dziecka, a ty chciałaś.

- Tak, od lat, ale on nie chciał być uwiązany, a w tym związku liczyło się tylko to, czego on chce.

- To skąd Sarah?

- To się stało już po rozstaniu. Chcieliśmy spróbować, czy to się sprawdzi. W jego przypadku sprawdzało się fantastycznie, w moim kiepsko. Kiedy miał zajęcia w Vancouverze, pojechałam z nim porozmawiać. Nie liczyłam nawet, że ze chce dotknąć takiej starej kobiety, więc nie pomyślałam o zabezpieczeniu. Ale on akurat miał ochotę na coś starego. Nawet na jakiś czas, zanim dowiedziałam się o ciąży, przeprowadził się do mnie, do White Elk. Ale okazało się, że White Elk to nie dla niego, ani ja, ani Sarah.

- Masz do tego bardzo pragmatyczne podejście.

- Przez osiem lat byłam zmuszona podchodzić do tego związku pragmatycznie. Inaczej bym zwariowała. - Upiła wody z butelki, bo zaschło jej w gardle. Strasznie się rozgadała, a przecież wie już od dawna, że tematu fatalnego małżeństwa nie warto analizować, w szczególności z nieznajomymi.

Ale Mark potrafi słuchać. I odzywa się we właściwych momentach.

- Nie zaplanowałam tego.

- Opowiedz mi o sobie.

- To nieciekawe. Popełniłam mnóstwo głupstw.

- Miłość potrafi człowieka zaślepić. Ja też mam na sumieniu różne idiotyzmy.

- Nieudane małżeństwo?

- Chybione. Uwielbiałem jej ojca i wydawało mi się, że do szczęścia brakuje mi tylko jego córki. On mnie w tym wspierał, nie mógł się doczekać, kiedy wejdem do rodziny. Byłem synem, który potrzebował ojca, a on ojcem, który pragnął mieć syna. Rzadko widywałem Norah, bo uczyła się w innym stanie, ale gdy przyjeżdżała do rodziców, sprawiała wrażenie sympatycznej. Nie było żadnych...

zalotów. Oboje wielbiliśmy jej ojca, więc myślę, że się pobraliśmy, żeby sprawić mu przyjemność. Teraz to brzmi absurdalnie, ale wtedy miało sens.

- Układało się między wami?

- Może na początku. Ale im więcej ona się domagała, tym mniej mogłem jej dać. Nie jestem bez winy. Kończyłem staż i nie miałem dla niej czasu. Łączyła nas jedynie miłość do jej ojca, a to za mało, żeby scementować związek. A to, że pozwoliłem mu tak umrzeć... - Głos mu się załamał.

Dotknęła jego ręki.

- Dlaczego dzieje się tak, że naszymi najsurowszymi sędziami jesteśmy my sami?

- Bo w głębi duszy wiemy, jacy jesteśmy źli. Ujął jej dłoń, a ona jej nie cofnęła.

- Mark, nie jesteś złym człowiekiem. To był tragiczny wypadek, a ty byłeś zmuszony dokonać bardzo trudnego wyboru.

Gwałtownie odsunął jej rękę.

- I źle wybrałem. Dlatego nie powinienem prowadzić tego kursu ratownictwa. Bo w górach stale trzeba dokonywać wyborów. Słusznych. Ale w ratownictwie się sprawdziłem.

- I właśnie dlatego powinieneś ten kurs prowadzić.

- Cholerna szkoda...

- Słucham?

- Szkoda, że nie mogę cię przyjąć.

- Bo nie mam kwalifikacji. Nie musisz mi o tym przypominać. Ale, Mark, nie powstrzymasz mnie. Skończę taki kurs i dostanę licencję. Od ciebie albo od następnego instruktora.

- Nie wątpię - powiedział, po czym delikatnie musnął wargami jej policzek.

- A to dlaczego?

- Za to, że uważasz, że moje tętno jest seksy.

Przez cały tydzień od owej nocy w hotelowej spiżarni ani razu do tego nie nawiązali. Mijali się w holu, witali uprzejmie, odzywali tylko wtedy, gdy było to konieczne i zazwyczaj w otoczeniu innych.

Nie jest źle, pomyślał. Bo było mu bardzo przyjemnie, gdy spała na jego ramieniu, bo podobał mu się jej zapach. Zorientował się, że go... podnieca.

- Mam nieprzewidziany dyżur w szpitalu - powiedział, gdy wyprzedziła go w korytarzu. - Wrócę pod wieczór.

Zatrzymała się.

- Ale po południu zaczynają się zjeżdżać dzieciaki.

- W razie czego możesz liczyć na Walta. Westchnęła.

- Pierwszy dzień jest bardzo ważny. Miałam nadzieję... trudno. Jak jesteś potrzebny w szpitalu, to musisz tam być. Jedź. - Już miała odejść, gdy chwycił ją za ramię.

- Angela, o co chodzi? Myślałem, że się rozumiemy. Unikasz mnie. Przestaliśmy się sprzeczać, a jak się nie sprzeczymy, to znaczy, że mamy problem. Tylko

nie wiem jaki, a nie mam okazji z tobą pogadać. Powiedziałem przez sen coś zdrożnego? Czy cię obmacywałem? Bo tak się zachowujesz.

- Nie tutaj - syknęła, rozglądając się po holu pełnym ochotników. - Nie teraz!

- To powiedz kiedy, bo muszę to wyjaśnić. Cały przyszły tydzień będziemy funkcjonować pod jednym dachem i nie chciałbym mieć do czynienia z lodowcem.

- Mark, to nie przez ciebie. To ja... Niezręcznie się czuję w takich bliskich kontaktach. Nie potrafię. Już raz się przekonałam, że podejmuję złe decyzje i lata całe zabrało mi nabranie rozumu. Od tej pory...

- Nie ufasz facetom.

- Niezupełnie facetom.

- Mnie? Nie masz do mnie zaufania? A co ja takiego zrobiłem? - Był zły. Bo nie szukał towarzyszkę na resztę życia, ani nawet nie liczył na romans.

Tylko... Nie bardzo wiedział, czego od niej oczekuje. Na pewno więcej, niż dotychczas. Westchnęła.

- Bo, widzisz, bardzo mi przypominasz mojego byłego. Brad... kobiety do niego lgną. Dobrze się przy nim czują, bezpiecznie. Wydaje się im, że muszą być przy nim, bo bez niego umrą.

- Uważasz, że jestem taki sam?

- Takie sprawiasz wrażenie. Dziewczyny w szpitalu nie przestają o tobie mówić. Widzę, jak na ciebie patrzą. Trzymasz się z boku, taki zdystansowany i niedostępny, a one marzą, żeby cię przekonać, nawrócić... Ja tak nie potrafię.

- Taki jestem? Naprawdę tak mnie widzisz?

- Tak.

- To mi pochlebia. Do tej pory chyba nic lepszego o sobie nie usłyszałem.

- Widzisz, Brad zareagowałby tak samo. To są jego słowa.

- Słowo honoru? Czy może ty tak to widzisz? Bo to gwarancja, że nie powtórzysz tamtego błędu. Stwierdzasz, że facet jest podobny do Brada, po czym zwiewasz, nie dając sobie szansy sprawdzenia, czy tak jest faktycznie.

- Mark, nie chcę się angażować. Nie chcę się dowiadywać, czy facet jest taki jak Brad, czy to tylko odezwał się mój mechanizm obronny. Nieważne. Wiem, że muszę zachowywać dystans.

- To ty trzymasz się z boku, jesteś zdystansowana i niedostępna, ale to złudzenie. Widziałem cię z Sarah. I wtedy jesteś sobą. Każdy to widzi. Angela, mam pomysł. Jak już dzieciaki pójdą spać, wpadnij do mnie.

Zaskoczona aż się cofnęła.

- Przyjdź z Sarah. Wiem, że już będzie spała, ale może spać u mnie. To nie potrwa długo.

- No nie wiem...

- Przyjdź. Zaufaj sobie. I zaufaj mnie.

Zaufać mu. To łatwe. Gorzej z zaufaniem do samej siebie. To, czego doznała tamtej nocy w spiżarni, było dla niej nowością, czymś nieobecnym w związku z Bradera. Tak, mogłaby się zaangażować, ale musiałyby wziąć pod uwagę osobiste problemy Marka.

Zatrzymał się w White Elk na krótko, a ona nie chce znowu cierpieć. Teraz zależy jej na stabilizacji, a Mark tego jej nie zagwarantuje.

- O, przyjechali - oznajmił Walt, spoglądając przez okno. Przystrzyżona broda i krótkie włosy już nie upodobniały go do Świętego Mikołaja. Do tego schludny sweter oraz fajka, mimo że nie palił. Dla wizerunku.

Druga miłość kompletnie go odmieniła. Jemu i Catie Angela życzyła długich szczęśliwych lat. Trochę też im zazdrościła. Ale może kiedyś i ona...

- Mam nadzieję, że wszystko przygotowane.

- Oczywiście - zapewnił ją Walt. - Zrobiłaś nawet więcej niż trzeba, więc się ciesz. Również dla ciebie to ma być pozytywnym doświadczeniem.

- Tak, ale trochę się boję. Jeszcze niedawno byłam tu kucharką...

- Szefową kuchni.

- Tak czy owak, kucharką. Jak mi coś nie wyszło, wyrzucałam do kubła. Ale teraz, jak widzę te dzieciaki, które zaraz tu wejdą... - Wzruszona szukała słów. - Walt, to wielka odpowiedzialność. Naszym zadaniem jest pokazanie im, jak mają dbać o zdrowie. Czy to akurat ja powinnam się tym zajmować?

- Angela, ty im ratujesz życie. Nauczysz je, jak dbać o kondycję fizyczną i jak się zdrowo odżywiać. I ta lekcja zostanie im do końca życia. Włożyłaś w organizację tego projektu tyle serca, że znajdziesz też siłę go zrealizować, niezależnie od nerwów.

Uściskała Walta.

- Gdyby nie zawojowała cię Catie, to ja bym się tobą zajęła.

- Lubią mnie dwie szefowe kuchni, a ja na ścisłej diecie! - westchnął Walt. - To największe marzenie każdego faceta, a jednocześnie najgorszy koszmar.

- Walt, cieszę się, że jesteś z Catie. Potrzebowałeś kogoś.



- Tobie też by się ktoś przydał. Czas na ciebie. Widziałem, jak Mark Anderson ci się przygląda. Czuję, że i na niego przyszła pora.

- Jakim cudem kobiety ufały ci przy porodzie?

- Słucham? - Ściągnął krzaczaste siwe brwi.

- Byłeś na tyle spostrzegawczy, że wiedziałeś, kiedy maluch chce wyjść na świat, a obserwując mnie i Marka... widzisz nie to, co trzeba. On wcale na mnie nie patrzy. No, czasami gromi mnie wzrokiem, bo zdarza nam się ostro ściąć.

- Mów, co chcesz, ale ja widzę, jak jest naprawdę.

- Pomachał dzieciom na powitanie.

W recepcji dzieci powitała Emoline Putters, spisała ich nazwiska, wydała im ulotki informacyjne oraz przydzieliła miejsca w salach. Jedna sypialnia dla chłopców, druga dla dziewcząt.

- Niesamowite - zdumiewała się Gabby Renard, która wraz z Neilem, Erikiem i Dinah przyjechała na otwarcie obozu. - Wiedziałam, że potrafisz, ale nie zdawałam sobie sprawy, jaka jesteś szybka i dokładna. Nie wiem, czy ci nie proponuję jakiegoś stanowiska administracyjnego w moim szpitalu.

Neil dał żonie kuksańca.

- Ani mi się waż. Jej miejsce jest tutaj, ona nigdzie się nie wybiera. - Przeniósł wzrok na Angelę. - Dobrze mówię?

- Daj spokój. - Szukała wzrokiem Marka, ale nie przyjechał. - Za dziesięć minut przedstawię dzieciakom i rodzicom program, odpowiem na ich pytania. Potem wszystkich zapraszam na lunch, ale później pożegnamy gości, żeby dzieci oswoiły się z nowym otoczeniem. Bez świadków... - Zatoczyła ramieniem półokrąg.

- Witam uczestników obozu dla diabetyków pod Trzema Siostrami. Rozejrzyjcie się i rozgośćcie.

- Nic nie stwierdzam. Nawet przeziębienia. - Zerknął do karty. - Ma pani jeszcze jakieś pytania?

- Czy nie mógłby pan doktor przyjechać do niej znów za kilka godzin? Zostałam sama z dzieckiem, a mieszkamy tak daleko...

Bez wątpienia Karen Landry go podrywa. Wyszedł wprawdzie z wprawy, ale doskonale rozpoznał ten trzepot rzes. Karen Landry była bardzo atrakcyjną kobietą, po rozwodzie. I już trzeci raz w ciągu dwóch tygodni przywiozła córeczkę, Aimee, do szpitala. Za każdym razem na jego dyżur. Na pewno nie ma faceta, który oparłby się jej wdziękom, ale im bardziej ona się starała, tym bardziej on żałował, że to nie Angela z nim flirtuje.

Angela nie marnuje czasu na flirty. Szkoda.

- Niestety, będę zajęty w Hotelu pod Trzema Siostrami. Zaczyna się tam obóz dla dzieci z cukrzycą.

- Mieszkamy niedaleko, to może mogłabym ją do pana przywieźć? - zapytała pani Landry z nadzieją w głosie.

- Obawiam się, że będę bardzo zajęty - powtórzył -ale jeśli panią coś zaniepokoi, proszę jechać do szpitala.

- Nie trzeba jej przebadać na okoliczność cukrzycy? Może przywiozę ją do hotelu na badanie?

Popatrzył na pięcioletnią Aimee. W głowie mu się nie mieściło, jak można wykorzystywać dziecko w celu wymuszenia spotkania albo romansu. Mimo to nie potępił pani Landry. Wiedział, jak przykra jest samotność.

- Aimee jest zdrowa jak rydz. Nie ma objawów cukrzycy, więc testy są zbędne. Ale jeśli tak bardzo się pani niepokoi, proszę się umówić na wizytę w poradni dla dzieci. Tam zrobią jej wszystkie badania.

Pani Landry traciła nadzieję.

- Ona je dużo słodczy.

- Nieważne, ile je słodczy, ważne, jak jej organizm je przetwarza. Cukrzyca jest skutkiem niewydolności trzustki. - Miał nadzieję, że takie wyjaśnienie wystarczy.

- Zbadał pan jej trzustkę? Bo może powinna wziąć udział w tym obozie...

Zdjął okulary, złożył je, po czym wsunął do kieszeni fartucha.

- Aimee jest zdrowa - oznajmił. Współczuł pani Landry, ale uznał, że posługiwanie się dzieckiem, by wprosić się do jego gabinetu, jest niestosowne. - Nic jej nie dolega. Następnym razem już jej nie przyjmę, ponieważ wkrótce kończę tu pracę. Moi koledzy mają równie wysokie kwalifikacje.

- Którzy to lekarze?

- Ranard, Ramsey, Galbraith... - Wszyscy żonaci, a to nie po myśli pani Landry. - A ty, Aimee, trzymaj się. - Nie dał małej cukierka, ale już kiedyś odkrył, że dzieci kochają stikersy, więc wręczył jej arkusz kolorowych błyszczących naklejek.

- Dziękuję - powiedziała.

Wystarczy drobiazg, by wywołać uśmiech na twarzy dziecka. Przyznał w duchu, że dzieci go wzruszają. Jak Sarah Blanchard. Niedobrze, bo powinien tłumić te tęsknoty. Kiedyś niemal go zabiły, więc drugi raz do tego nie dopuści.

Patrzył na wychodzącą panią Landry. Nie była niedobra dla córeczki, ale nie skupiała na niej uwagi, nie trzymała jej za rękę. Nie spoglądała na nią rozkochanym wzrokiem, jak Angela na Sarah. Całe życie Angeli kręciło się wokół dziecka. W przypadku pani Landry dziecko było jedynie uciążliwym dodatkiem.

Pod wpływem chwili sięgnął po komórkę.

- Chciałem zamówić wiązanke.

TLR

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Przysłałeś mi kwiaty? Wzruszył ramionami.

- To pierwszy dzień twojego obozu. Jest w zwyczaju przysyłać kwiaty z okazji inauguracji nowego projektu.

Popatrzyła na bukiet. Dwadzieścia cztery białe róże w kryształowym wazonie. Postawiła go w holu, na widoku, żeby wszyscy mogli się nim cieszyć. Kartkę, trochę sentymentalną, zachowała dla siebie. „Z życzeniami sukcesu we wszystkich przedsięwzięciach. Mark”. Dobrze, że nie „Całuję, Mark”.

- Pierwszy raz dostałam od kogoś kwiaty... Nie wiem, co powiedzieć.

- Naprawdę pierwszy? Przytaknęła, wachając róże.

- Brad nie był sentymentalny ani romantyczny. A przed nim... same chłopaczki.

- Cieszę się, że jestem pierwszy. - Popatrzył na zegarek. - Muszę lecieć. Mamy z Waltem zajęcia z... trzustki i produkcji insuliny. - Przypomniała mu się pani Landry. - Podstawowe informacje tylko po to, żeby dzieciaki miały pojęcie o anatomii tej choroby.

- To chyba właściwy początek.

- A co u ciebie?

- W porządku. Jesteśmy już po wstępnej pogadance i po lunchu. Wyprosiliśmy rodziców i oprowadziliśmy dzieci po pomieszczeniach, do których mają wstęp. Tam, gdzie nie wolno wchodzić, Ed pozamykał przejścia. Potem wyszliśmy na dwór obejrzeć stok dla początkujących. Myślę, że już wszyscy oswoili się z miejscem i chętnie czegoś się dowiedzą.

- Dzieci uczą się błyskawicznie - zauważył z uśmiechem. - Mam wrażenie, że często są niedoceniane, ale jak im się przedstawi coś w prosty sposób, przyswajają to bez trudu. Czasami szybciej niż dorośli.

- Nic dziwnego, że Sarah patrzy na ciebie z takim zachwytem. Chyba się stara sobie ciebie przyswoić.

- Proszę pani! - wołał Harry z drugiego końca holu. - Czy możemy znowu pobawić się na śniegu?

- Twoi goście się niecierpliwiają.

- Teraz to są twoi goście, bo już pora, żebyś odkrył przed nimi tajemnice trzustki.

- Oraz insuliny, po łacinie *insula*, a po włosku *isola*.

- To tyle co „wyspa” - wtrąciła. - A od tego mamy wyrazy pochodne, na przykład izolacja. Znam ludzi, którzy się izolują.

- Mówisz o mnie? - zapytał.

- Jeszcze przed chwilą byłam skłonna tak uważać, ale przecież ci, którzy się izolują, nie przysyłają kwiatów.

- Niektórym to się zdarza.

- Proszę pani, możemy wyjść na dwór?

- Są wśród nich tacy, którym się tylko wydaje, że się izolują, a wcale tacy nie są. - Odwróciła się i pobiegła za Harrym, który już był przy wyjściu.

- Sarah, bardzo się cieszę, że przyszłaś z mamą. -Dziewczynka od razu wyciągnęła do niego rączki. -Nie mów jej, ale zaprosiłem ją jako pretekst, żeby zobaczyć się z tobą. - Fachowym ruchem posadził ją sobie na biodrze, ale ona miała inne plany, ponieważ na różowym kocu na podłodze zobaczyła kolorowe zabawki.

- Kupiłeś to z myślą o niej? - zdumiała się Angela.

- Siostra Erica ma butik z ręcznie robionymi zabawkami. Same ekologiczne i wolne od alergenów.

- Ale aż tyle? Chyba z dziesięć...

- Jedenaście. Nie mogłem się zdecydować, więc kupiłem wszystkie. Pomyślałem, że Sarah sama dokona wyboru, a resztę oddam do szpitala. - Posadził ją wśród puszystych zajaczków i żyrafek.

- Obawiam się, że moja córka wybierze wszystkie. Mark przez dłuższą chwilę wpatrywał się w Sarah.

- Mam nadzieję - powiedział nieco zachrypłym głosem. - Pluszaków nigdy za dużo.

- Wiesz, że masz miękkie serce? - Miała ochotę go pocałować, ale się powstrzymała. - O czym chciałeś rozmawiać? - zapytała, podchodząc do okna, skąd rozciągał się niesamowity widok na masyw Trzech Sióstr w blasku zachodzącego słońca.

Tak, te góry i White Elk to jej miejsce na ziemi. Kocha je za jego mieszkańców i za to, że dopiero tutaj poczuła się naprawdę szczęśliwa. Przede wszystkim jednak z powodu Sarah, która wtulona w białego delfina o czymś z nim gaworzyła. Tak, tutaj będzie rosło jej dziecko.

- Chodziło ci o ten widok? - Nie mogła oderwać wzroku od krajobrazu w barwach złota, różu i błękitu.

- Owszem, piękny, ale co innego miałem na myśli. Powoli się odwróciła.

- To? Linę?

- Pomyślałem, że nauczę cię z niej korzystać. Rozmawialiśmy już o tym, więc kupiłem trochę sprzętu, żeby ci pokazać, jak się go zakłada.

Łaska boska, że nie oczekiwała czegoś romantycznego. Sprzęt... pewnie ze-  
chce jej to założyć. To całkiem niezły sposób spędzenia wieczoru. Przybliży ją  
do celu i uwolni od głupich myśli na temat Marka. Na przykład jak by to było,  
gdyby go zatrzymała w White Elk?

- To dla mnie?

- Wydawało mi się, że cię to interesuje.

- Jasne! Chcę się wspinać. Ale jestem zaskoczona. Nie spodziewałam się...  
Kiedy mnie tu zaprosiłeś...

- Pomyślałaś, że zamierzam cię uwieść. - Przeniósł wzrok na Sarah, która za-  
snęła w objęciach niedźwiedzia polarnego.

- Powiedziałeś, żebym przyszła z małą, więc wykluczyłam taką możliwość.  
Nie wiem, czego się spodziewałam. - Wzruszyła ramionami. - Ale się cieszę,  
bardzo się cieszę. Zaczynajmy.

- Dziwna z ciebie kobieta. Dajesz się uwieść linom, ale nie mnie.

- W przyszłości liny będą częścią mojego życia, ty nie.

- Ostro powiedziane.



- Ale prawdziwie. - Uniosła brwi. - Zaprzeczysz? Roześmiał się.
- Przejdźmy do drugiego pokoju, żeby nie obudzić Sarah.

Drugie pomieszczenie było mniejsze, mieściło się w nim biurko, fotel i mikroskopijna kuchnia. Na szczęście nie było tam łóżka. Uwodzenia wprawdzie nie było w programie, ale łóżko i tak by ją rozpraszało.

- Co dalej z tą liną?

- Zaczniemy od upręży. Trzymając ją przed sobą, rozplącz ją. Najprościej uniknąć splątania liny, zwijając ją starannie, zanim się ją schowa. Nic bardziej nie denerwuje jak rozplątywanie liny. - Podał jej uprząż.

- Nie plątać lin. Kiwnął głową.

- Jest kilka sposobów zwijania, ale o tym później. Świadomie przyjął uwodzicielski ton, czy to raczej

ona chętnie dałaby się uwieść? Bo nagle zapragnęła wraz z nim zwijać cokolwiek.

- Co teraz? - Mówiła z trudem, bo czuła, że ulega jego urokowi, mimo że on zachowuje się neutralnie. Cały ten erotyzm był wyłącznie w jej głowie.

- Zorientuj się, gdzie jest przód i tył upręży oraz lewa i prawa pętla na nogi. Uprząż nigdzie nie może być poskręcana. Teraz ją załóż i się zapnij.

Niby proste, ale zachwiała się, podciągając uprząż, i byłaby upadła, gdyby Mark jej nie podtrzymał.

- Wygodne to to nie jest - mruknęła.

- Ani twarzowe. - Parsknął śmiechem. - Ale można się przyzwyczaić. Jak już się zapiełaś w pasie, to teraz załóż te pętle na uda, podciągnij jak najwyżej i ciasno zapnij, ale nie tak, żeby zatrzymywały krążenie.

Gdy próbowała wsunąć lewą nogę w pętlę, Mark ją powstrzymał, po czym włożył jej pętlę do ręki. Przekazywanie pętli trwało sekundę za długo. Jego dotyk był jak pieścizota... Czy to znowu jej wyobraźnia? Podniosła na niego wzrok. Nie, zdecydowanie to sobie wymyśliła. Był skoncentrowany, wręcz nadęty.

- To znaczy... mam owinąć pętlę wokół uda i...? Mark odkaszlnął.

- Dokoła i z powrotem. Obie nogi tak samo. Zwracaj uwagę na klamrę. W tej uprząży na każdej klamrze jest napis „Uwaga”. Jeśli go widzisz, to znaczy, że taśma nie jest wystarczająco dociągnięta. Nie wszyscy producenci uprząży umieszczają na klamrach takie ostrzeżenie, więc trzeba to sprawdzać. - Wskazał na pętlę z przodu pasa zapiętego w talii. - Ta pętla ci się przesunęła. Musi być równo z pępkiem. - Gdy poprawiając uprząż, musnął jej brzuch, zadrżała. Doznanie czysto fizyczne, zmysłowe pomimo ubrania.

Ukryła zmieszanie wymuszonym uśmiechem, chociaż wszystko w niej wibrowało.

- Postaram się zapamiętać.

- To bardzo ważne - rzekł z naciskiem. Zmienił mu się głos? Ta bliskość też robi na nim wrażenie? Udzieliła mu się jej nerwowość?

- Bo ratuje życie. Doktorze, jestem bardzo pilną uczennicą.

Poprawiła taśmę, ale nie mogła ponownie przewlec jej przez klamrę.

- Idzie mi nieporadnie - mruknęła. W końcu jej pomógł.

- Wystarczy poćwiczyć - zauważył. - To jest bardzo ważne. Trzeba prawidłowo się zapieść, bo to ma cię utrzymać, jak odpadniesz od ściany. Musisz... -

Znowu dotknął jej ręki, sięgając po taśmę. - Musisz przepchnąć ją przez klamrę raz...

Oddychała jego zapachem. Upajając się nim oraz bliskością Marka, wstrzymała oddech.

- ...i drugi. Możesz oddychać? Wypuściła powietrze.

- Tak, skupiam się. - Niesamowite, jak ją to podnieca. Czują, że miękną jej kolana.

- Bardzo dobrze, bo to samo trzeba zrobić z pętlami na udach. I pamiętaj, że pętle muszą być jak najwyżej. Pod samą...

Przytaknęła.

- Tak wysoko, jak się da.

Na jego czole dostrzegła kropelki potu.

- Taśma na udach pewnie też jest sztywna, więc... Skup się! Musisz dobrze zapiąć te pętle! Musisz

zdobyć licencję.

- Nie mogę tego przepchnąć...

- Spróbuj trochę pomiąć taśmę, żeby zmiękła. Nie pomoże jej? Nie zakończy tej lekcji?

- Żeby zmiękła... - powtórzyła lekko rozczarowana, że zbliża się koniec. - Możemy przejść do następnego kroku, mimo że nie radzę sobie z zaciąganiem tych taśm? Wiem, jak ma być, więc to nieważne, że są luźne.

- Uprząż ma być założona prawidłowo. Nie ma przebaczyć.

Westchnęła. Złościło ją, że nie potrafi wykonać tak prostego zadania i że Mark jest taki zasadniczy.

- Wobec tego uważam, że nasz wieczór dobiegł końca, bo nie mogę tej taśmy przeciągnąć przez klamrę.

Mark zamknął oczy. Zniecierpliwiał się? Żałuje, że się w to wpakował? To ładnie z jego strony, że kupił sprzęt i że chce ją uczyć. Teraz tego żałuje?

Uznała, że pora wyjść, zabrać Sarah do pokoju, gdzie zajmie się nią Edith, podczas gdy ona przygotowuje dla dzieci kanapki na podwieczorek, a potem im opowie, jak w nocy zmienia się poziom cukru w krwi w zależności od tego, co się wieczorem zjadło. Zupełnie nie miała na to ochoty.

- Mark, doceniam twoje chęci, ale skoro utknęliśmy... Nieoczekiwanie chwycił koniec taśmy, przeciągnął ją przez klamrę, po czym wsunął rękę między taśmę i jej udo.

- Nie luźniej niż na grubość dłoni. Wstrzymała oddech.

- Zaskoczyłeś mnie - skłamała, ale gdyby przesunął dłoń trochę wyżej...

- Musisz to opanować. Bo jak źle się zapniesz, możesz spaść głową w dół.

Już upadła na głowę, tylko inaczej.

- Głową w dół... - Tylko westchnęła, gdy mocował na niej drugą pętlę. W jego oczach dostrzegła ten sam płomień, który ją trawił. - Mark... ja... my...

Decyzja zapadła błyskawicznie. Musnął wargami jej usta, ale nie odwzajemniła tego pocałunku, oszołomiona siłą ogarniającego ją pożądania. Mimo to jego pocałunki stawały się coraz bardziej natarczywe, domagały się jej reakcji. Jęknęła. Gdy w końcu powiodła językiem po jego wargach, przeciągle westchnął.

- Mark...

Uciszył ją, kładąc jej palec na wargach.

- To słaby pomysł... Tam śpi Sarah, a w holu biegają dzieciaki. - Wsunął jej palce we włosy.

Palce mu drżą? Czy może to ona drży?

- Tak, masz rację - wyszeptała. - Nikogo nie miałam. Od dawna.

- Rozumiem:

Przez dłuższą chwilę całował ją bez opamiętania, ale ona nagle się odsunęła. W oczy rzucił się jej napis na kłamrze: „Uwaga”.

- To nie z powodu Sarah i dzieciaków w holu. To... moje plany - szepnęła. - Nie ma w nich miejsca dla ciebie. - Spojrzała mu w oczy. - To się nie może zdarzyć. Nie teraz. - Cofnęła się o krok.

- Myślisz, że coś miało się zdarzyć? - Spochmur-niał. - To tylko... Nieważne...

Nieważne? Dla niego to jest nieważne? Nagle zrozumiała, dlaczego obiecała sobie, że tego nie zrobi. Zakochuje się w tym facecie. Walczy z tym uczuciem, ale nieskutecznie. Nie potrafi mu się przeciwstawić.

- Słusznie, masz rację, nieważne.

Odwróciła się. Miała ochotę uciec, ale zmobilizowała resztki godności. Nie zdejmując upręży, przeszła do drugiego pokoju i wzięła na ręce Sarah. Pod drzwiami zwróciła się do Marka:

- Dziękuję za tę lekcję. Mam nadzieję, że o tym zapomnimy, o tym nieważnym, i że udzielisz mi następnego instruktażu.

Nie zaprzeczył ani nie potwierdził. Milczał.

Gdy znalazła się w swoim pokoju, dała upust łzom.

- Dlaczego ja to zrobiłam? - zapytała córkę, która już się obudziła. - Dlaczego się zgodziłam, wiedząc, że nic z tego nie będzie?

- Ma- ma... taa....

Te dwa słowa nie wystąpią razem.

TLR

## ROZDZIAŁ ÓSMY

- Scotty, nie śpisz? - zapytała, oczekując, że chłopiec wstanie bez ociągania, ale on tylko odwrócił się na drugi bok. Reszta obozu już od godziny była na nogach. Dzieci zjadły śniadanie i razem z Fallon, Jamesem i Tylerem wyszły na wycieczkę w góry. Bez Scotty'ego, który był w bardzo złym humorze. - Śpiochu, pora wstawać.

- Nie - mruknął, naciągając koc na głowę.

Kto jak kto, ale akurat Scotty potrzebował ruchu, ponieważ miał dziesięć kilogramów nadwagi, a unikał wysiłku fizycznego. Miał siedem lat i prowadził wyłącznie siedzący tryb życia. Gry wideo, telewizja, przysmaki. Jeśli nie uda się zmienić jego nawyków, zmotywować go, jego przyszłość stanie pod znakiem zapytania.

- Scotty, nie masz wyjścia. Wstawaj. Ubierz się i chodź na śniadanie.

- Nie!

- Nie chce wstać? - W drzwiach stał Mark. Pod pachą trzymał Freda w gustownym czerwonym kubraczku.

- Próbowałam perswazji, ale bez skutku. Pozostało mi tylko ściągnąć go z łóżka. - Scotty leżał odwrócony do nich plecami. - Masz inny pomysł?

Mark uśmiechnął się chytrze.

- Może zainteresuje go propozycja spaceru z Fredem. \

- Scotty, lubisz psy? Bo jest tu taki jeden, co chciał-! by się z tobą zaprzyjaźnić.

- Nie!

Wymienili spojrzenia, po czym Mark pokręcił głową.

- Muszę to przemyśleć - powiedział. - Ale Fred musi wyjść na dwór na poranny spacer. Potem mam do przesłuchania kilku kandydatów na szkolenie. - Podeszedł do łóżka i lekko potrząsnął chłopca za ramię. - Młody człowieku, pora wstać. Jak skończę ze swoimi sprawami, wrócę tu i razem wyjdziemy na dwór. - Puścił oko do Angeli. - Im dłużej będziesz się wylegiwał, tym dłuższy będzie ten spacer.

- Nie chcę!

- Mówi niewyraźnie - zauważyła, po czym bez namysłu chwyciła chłopca za ramię, by go odwrócić, ale on zaczął się wrywać, kopać i wymachiwać ramionami. Dostała w oko.

Mark postawił Freda na podłodze i ruszył jej na pomoc.

- Angela, okej?

Machnęła ręką, koncentrując się na Scottym.

- Nic mi nie jest. Możesz mi przynieść zestaw do pomiaru cukru? Poradzę sobie z nim. - Mark chwycił Freda na ręce i wybiegł z pokoju. - Uspokój się, Scotty. Chcemy ci pomóc.

- Zostaw mnie! - Płacząc, chłopiec usiłował wyrwać się jej z objęć.

W pierwszej chwili pomyślała, że broniąc się, gdzieś się uderzył, ale chwilę później doszła do wniosku, że dzieje się coś złego.



- Scotty, proszę. Spokojnie, skarbie... - powtarzała.
- Przytrzymasz go, żebym mógł pobrać krew? - Wrócił Mark.
- Opada z sił. Jasne, że go przytrzymam. Chłopiec się bronił, ale Mark wprawnym ruchem unieruchomił mu ramię.
- Nie! Nie chcę! - wrzeszczał Scotty. - Puszczaj! Gdy Mark już miał nakłuć mu palec, szarpnął się tak mocno, że Angela spadłaby z łóżka, gdyby nie to, że mogła oprzeć się o Marka.
- Ty musisz go nakłuć - powiedział Mark - bo ja stoję pod złym kątem.
- Zamieńmy się miejscami - zaproponowała. - Ty go przytrzymasz, a ja pobiorę krew.

W końcu kropla krwi zabarwiła pasek testera.

- Czteryście dwadzieścia - Mark odczytał poziom cukru.

Zrobiło się jej słabo.

- Mark, jak to się stało? Jak to możliwe?

Jednym z warunków uczestnictwa w obozie był absolutny zakaz przemycania jedzenia z zewnątrz. Ponieważ wiadomo, jakie są dzieci, rodzice wyrazili zgodę na częste kontrole łóżek oraz szafek swoich pociech. Scotty najwyraźniej ich przechytrył.

- Na początek mamy pod kocem puste opakowanie po herbatnikach. - Mark trzymał w palcach puste pudełko. - Ciekawe, co jeszcze zachomikował. - Zerknął na Scotty'ego, który już nie stawiał oporu. - Scotty, co tam masz? Chcę wiedzieć, co jadłeś przez całą noc.

- Nic. To nie moje.

- Synku, chcemy ci pomóc. Muszę podać ci lekarstwo, więc chcę wiedzieć, co jadłeś.

Scotty był bliski płaczu, więc Angela pomyślała z nadzieją, że być może nareszcie skojarzył, że to jak się czuje, ma związek z tym, co jadł.

- To przez nią. - Wskazał na Angelę, która go puściła, ale na wszelki wypadek dalej siedziała na łóżku. - Powiedziała, że mogę.

- Scotty, nikt cię tu nie będzie karał - odezwał się Mark - ale powiedz prawdę.

Chłopiec pociągnął nosem. Mrugał nerwowo, ale gdy otwierał oczy, wzrok miał mętny.

- Porozmawiamy o tym później - obiecała mu Angela. - Przede wszystkim musimy się tobą zająć. - Spojrzała na Marka. - Posiedzę przy nim.

- Wolałbym go tu nie zostawiać. Ma dużą tolerancję na cukier, ale na wszelki wypadek lepiej będzie, jak z nim zostanę. Idź do Walta, poproś go o szybko działającą insulinę i powiedz, że jest mi tu potrzebny.

- Walt poszedł z dziećmi na wycieczkę.

- W takim razie ty musisz mi ją przynieść. - Podał jej nazwę leku i przypomniał o strzykawce. - Oraz przenośne EKG. Z wielu powodów trzeba go monitorować w trakcie spadania poziomu cukru. Ale zanim pójdziesz, możesz zmierzyć mu ciśnienie?

- Jasne. - To proste. Jeszcze tego nie robiła, ale widziała setki razy. Sięgnęła po mankiet.

- Owiń mu ramię...

- Nie dotykaj mnie! - wrzasnął Scotty.

- Scotty, spokojnie... To tylko mankiet.

- Nie! To boli!

- Troszkę - odezwał się Mark. - Ale jak wytrzymasz ten jeden raz, będziesz mógł mi go założyć dwa razy.

Chłopiec nie odpowiedział. Wyraźnie tracił siły. Korzystając z okazji, Angela wsunęła mu mankiet na rękę, ale znowu się szarpnął, chociaż znacznie słabiej.

- Obiecujesz? - wybełkotał.

- Nawet dam ci posłuchać twojego serca. Angeli tymczasem udało się napompować mankiet.

Nasłuchiwała. Przez chwilę nic nie usłyszała. Źle coś zrobiła? Ale... jest! Słabe dudnienie.

- Skurczowe... sto pięćdziesiąt. - Wysłuchiwała się dalej. - Rozkurczowe sto. Mam powtórzyć?

- Ufam ci - odrzekł Mark z uśmiechem.

Ufam ci. Miała te słowa w uszach, spiesząc po insulinę i przenośny aparat do EKG. Gdy wróciła, Mark siedział na łóżku, a Scotty leżał bezwładnie.

- Co się stało? - zapytała.

- Zasypia.

- To nie śpiączka? - zaniepokoiła się.

- Nie. Myślę, że padł z wyczerpania. Wahania poziomu cukru potrafią być bardzo męczące. Nasz waleczny człowieczek zasnął.

- Zdażył ci zmierzyć ciśnienie?

- Nie zdażył, ale dotrzymam słowa. Może nawet mianuję go młodszym lekarzem. Pokażę mu kilka procedur, które każą mu się zastanowić nad swoją własną sytuacją. - Podał jej strzykawkę. - Chcesz go ukłuć?

- Nie chcę robić mu krzywdy.

- Krzywdą będzie niepodanie insuliny. Przed nim jeszcze dużo kłucia, może nawet do końca życia, jak się nie opanuje. A ty, skoro masz pracować z cukrzykami, musisz się tego nauczyć, bo nie zawsze będziesz miała pod ręką lekarza. Od ciebie może zależeć życie takiego dziecka. - Nie spuszczał z niej wzroku. - Poznałaś już jeden rodzaj przełomu cukrzycowego, ale jeszcze musisz się nauczyć, jak postępować, kiedy poziom cukru jest tak niski, że coś słodkiego nie wystarcza, żeby podniósł się odpowiednio szybko.

- Okej, gdzie mam go ukłuć? - Podeszła do łóżka. Tak, musi jeszcze dużo się nauczyć, ale Mark nie zaproponował, że jej w tym pomoże.

Znowu poczuła się niechciana. Nie przyjął jej na szkolenie. Przykre, ale nie pora teraz to roztrząsać.

- W ramię albo gdzie chcesz. Może być w brzuch albo w udo. Masz wybór. Ale nie za głęboko. To ma być...

- Zastrzyk podskórny. - Wyrecytowała całą definicję takiej iniekcji, po czym wkłuła się w ramię.

- Bardzo dobrze. - Podniósł się z łóżka. - Masz dużą wiedzę.

- Nie krępuj się, powiedz - nie wytrzymała.

- Co mam powiedzieć?

- Że to duży zasób wiedzy jak na osobę, która o niczym nie ma pojęcia. Wiele tylko to, co wyczytała z książek, co twoim zdaniem w ogóle się nie liczy. To sobie pomyślałaś, prawda?

Popatrzył na śpiącego chłopca.

- Angela, posłuchaj, zdaję sobie sprawę, że ten pocałunek wszystko popsuł, ale jesteśmy skazani na współpracę.

- To nie przez ten pocałunek. Sam powiedziałeś, że się nie liczy. - Bardzo ją to bolało. - To nasza wina. Nie chcę się nad tym zastanawiać, szkoda mi na to czasu. Ty zaczniesz szkolenie, ja mam swój program. Już niedługo nie będziemy wchodzić sobie w drogę. I niech tak zostanie.

Nie od razu odpowiedział. Dopiero gdy po raz drugi zbadał poziom cukru.

- Trzysta osiemdziesiąt.

Ucieszyła się, że stan chłopca się poprawia.

- Trzeba go przewieźć do szpitala?

- Nie teraz. Dopiero jak mi się nie uda odpowiednio obniżyć poziomu cukru. Będę go obserwował, bo myślę, że dobrze zareaguje na leczenie, a pobyt w szpitalu to zbędna trauma. Poproszę cię, żebyś wezwała tu jego matkę, bo podejrzewam, że to ona tak mu dogadza. Jest okazja poważnie z nią porozmawiać.

- Naprawdę myślisz, że to ona dała mu te ciasteczka? - Dlaczego matka miałaby tak postąpić? Nie rozumie, do czego może to doprowadzić? Nie słyszała o tragicznych konsekwencjach niewyrównanej cukrzycy? O powikłaniach wywołanych przez powikłania?

Nagle zrozumiała, że należałoby również zorganizować podobny obóz dla rodziców. Jedno-, dwudniowy, żeby razem z dziećmi wysłuchali pogadank. Albo

może żeby pod koniec obozu dzieci przeskoliły rodziców. Ciekawy pomysł, wart rozwinięcia.

- Muszę się sprężyć. - Westchnęła ciężko, biorąc na siebie brzemień odpowiedzialności.

- Ty?

- Tak, to mój obowiązek. Ja ściągnęłam tutaj te dzieciaki, obiecałam je uczyć, opiekować się nimi, ale jak dzieje się coś takiego... - Zawahała się. - A jeśli inne dziecko mu to podrzuciło?

- Angela, tego nie da się przewidzieć. I to nie twoja wina. Scotty najadł się czegoś, czego nie powinien, ale to nie ty mu to dałaś.

- Nie dałam, ale powinnam była temu zapobiec. Podszedł do niej i ją objął.

- Przestań myśleć o Bradzie, który ci wmawiał, że za mało się starasz, a o dziecku, które oszukuje.

Odsunęła się.

- To nie ma nic wspólnego z Bradem - mruknęła.

- Tak? Nie masz gdzieś z tyłu głowy jego słów, że jesteś do niczego? I niezależnie od sytuacji to on kieruje twoimi poczynaniami? Na przykład teraz, kiedy wmawiasz sobie, że jesteś za słaba, żeby poprowadzić ten projekt?

- To chwyt poniżej pasa!

- Angela, ważne, co się z tobą dzieje. Ważna jest rzeczywistość, w której się poruszasz. Ty nadal jesteś pod wpływem Brada, tego skur... - Zerknął na śpiącego chłopca, po czym dokończył szeptem.

Mark się myli. A może nie? Zamącił jej w głowie.

- Tu chodzi o Scotty'ego - broniła się, mimo wszystko czując się niepewnie. - Co z nim zrobić? Odesłać do matki, żeby nie stanowił potencjalnego zagrożenia dla innych? Czy zatrzymać, spędzać z nim więcej czasu, próbować jak najwięcej go nauczyć? W tej chwili jestem za odesłaniem go do matki. - Zdesperowana potrząsnęła głową. - Jego zdrowie leży mi na sercu, więc w dalszym ciągu będę z nim pracować, ale w poradni przyszpitalnej. Boję się pomyśleć, że jak tylko spuścimy go z oczu...

- Angela, nie wolno nam go skreślić. To by było najłatwiejsze, ale nie na tym polega medycyna.

Poczuła się dotknięta. To dla niej oczywiste. Ale ma jedenaścioro dzieci, które mogą dać się skusić Scot-ty'emu. Więc słowa Marka...

- Ja go nie skreślałam. Przedstawiłam korzystne dla niego rozwiązanie.

- Polegające na wyrzuceniu go z obozu.

Te słowa dotknęły ją do żywego.

- Nie dociera do ciebie, że chcę mu pomóc, ale niekoniecznie w tym miejscu? Niekoniecznie w grupie chorych dzieci.

- To jest jedyne miejsce. Inaczej Scotty może się zagubić, pomyśli, że nie zasłużył na to, żebyśmy się nim zajęli. Poczuje się wykluczony. I dlatego powinien być to obóz nie tylko dla niego, ale właśnie dla takich jak on. Trzeba to uwzględnić w programie, bo nie wszystkie dzieci będą grzeczne i chętne do współpracy. Te najtrudniejsze potrzebują pomocy najbardziej, a odtrącenie ich... - Zwiesił głowę i westchnął. - Jeśli damy im do zrozumienia, że sprawiają poważne problemy, będą czuły się zmuszone robić wszystko to, co je tu sprowadziło, a czego chcemy je oduczyć. Ich emocje mogą być bardzo niestabilne...

Takiego Marka jeszcze nie znała: On potrafi współczuć. I chce się od tego uwolnić? Niepojęte. A jak trafnie to ujął... Perspektywa, którą jej przedstawił, przeraziła ją, bo z doświadczenia wiedziała, czym jest huśtawka emocjonalna.

Musi mu uwierzyć. Zaufać jego wiedzy o dzieciach takich jak Scotty, tych wymagających wysiłku. Szkoda, że medycyna wkrótce straci takiego lekarza jak Mark. Może nawet sam nie wie, jaki posiada potencjał.

- Tak, masz rację, rozumiem. Muszę być przygotowana na pracę z takimi osobnikami. I nie odsyłać ich do domu. Spanikowałam. I chyba nie jestem odpowiednią osobą. Jakie ja mam przygotowanie?

- To, co już osiągnęłaś i to, jaka jesteś. Neil i Eric nie poparliby twojego projektu, gdyby w ciebie nie wierzyli. Mimo że cię lubią, nie powierzyliby ci tylu dzieciaków. Najważniejsze, żebyś wreszcie się uwolniła od byłego męża. To drań. Idiota, bo odszedł od ciebie i Sarah. Powtarzaj to jak mantrę. Brad to idiota, Brad to idiota. Roześmiała się.

- Nie masz pojęcia, jak dobrze jest usłyszeć, że ktoś mówi na głos to, co przez cały czas chodzi mi po głowie.

- Trzymaj się tego zalecenia. Powtarzaj to sobie raz na godzinę, a niedługo w to uwierzysz.

Mark zmierzył chłopcu ciśnienie, a ona pobrała krew do badania.

- Dwieście osiemdziesiąt - zameldowała z ulgą w głosie.

- Jesteśmy zgranym zespołem - rzucił Mark od niechcienia, po czym uścisnął ją za ramię.

Trwało to chwilę za długo.

Tak, potrafią razem pracować. Szkoda, że nie będzie jej dane zostać jego uczennicą, bo Mark jest świetnym nauczycielem, a do tego wspaniałym lekarzem i dobrym człowiekiem. Ale ona musi pamiętać, że to nie potrwa długo, zwłaszcza w takich chwilach, kiedy krew w jej żyłach przyspiesza.

- Ten pocałunek... Wstrzymała oddech.



- Już chyba powiedziałeś wszystko na ten temat.

- Chciałem przeprosić za to, co potem powiedziałem...

- Że to błąd?

- Tak, błąd, ale źle mnie zrozumiałaś. Chodziło mi o to, że było miło, ale że nie powinniśmy się angażować do tego stopnia. Ty masz swoje plany, ja swoje i oboje nie powinniśmy prowokować sytuacji, które mogłyby zagrozić ich realizacji.

- Uważasz, że jeden pocałunek może zagrozić naszej przyszłości? - Odebrała to jako komplement.

- Znowu powiedziałem coś niestosownego?

- Mark, ten pocałunek to nie pomyłka. Przynajmniej w moim przypadku. Tak, daliśmy się ponieść... Muszę przyznać, że zrobiło mi się przykro, jak powiedziałeś, że to nic ważnego. Ale nie bardzo się przejęłam.

Nieprawda. Roztrząsała to całymi godzinami.

- Nie przejęłaś się? A ja się przejąłem. Bardziej, niżbym chciał. Analizowałem go... i swoją reakcję. Angela, ty mnie pociągasz i gdybym znalazł się w miejscu, gdzie mógłbym ulec pokusie... - Podeszedł do niej i delikatnie dotknął palcem sińca pod okiem. - Zrób sobie okład z lodu - zasugerował. -1 przestań być dla siebie taka surowa. Jesteś potrzebna temu miasteczku i tym dzieciom. - Popatrzył na Scotty'ego. - On też cię potrzebuje. Znacznie bardziej, niż myślisz.

Wszyscy jej potrzebują oprócz Marka. Przyjemnie byłoby od niego usłyszeć, że jej pragnie najbardziej. Marzenie ściętej głowy.

- Tak, wiem - powiedziała cicho, przyglądając się śpiącemu chłopcu. Ma taką anielską twarzyczkę, jakby nie miał żadnych trosk, a to nieprawda, bo dręczy go mnóstwo problemów. Tak jak ją. - Wobec tego rozpoczynamy program indywi-

dualny pod hasłem „Czuwanie”. Dwadzieścia cztery godziny na dobę, przez siedem dni w tygodniu.

- Zacznę od przeszukiwania pokoju i różnych możliwych skrytek. Będę to robił kilka razy dziennie. - Uśmiechnął się szeroko. -1 za każdym razem będę miał przygotowany lancet, żeby pobrać mu krew, jeżeli będę podejrzewał, że oszukuje. Scotty jest bystry. Błyskawicznie się połapie. To, co tu zrobimy, uratuje mu życie. I o to chodzi. O ratowanie życia.

To jej nadrzędny cel. Ratować te dzieci, ucząc je odpowiedzialności za siebie, za swoje zdrowie.

- Porozmawiam z jego matką. Powiem jej, co zrobił i w jaki sposób zamierzamy temu przeciwdziałać. Potem przekażę ją tobie, a ty, z medycznego punktu widzenia, przedstawiś jej wszystkie tragiczne konsekwencje. Nie oszczędzaj jej, bo musi mieć tego pełną świadomość. Zastanowię się też nad możliwością indywidualnych spotkań z rodzicami.

- Angela, jesteś świetna. Reagujesz błyskawicznie, masz wyczulony instynkt...

- Ale w niewystarczającym stopniu - mruknęła.

- Jeszcze nie, ale niedługo... - Pocałował ją w czoło. - Posiedzę przy nim, a za jakiś czas go obudzę, żeby sprawdzić, w jakim jest stanie. Przyłóż sobie lód. I zorientuj się, czy masz stosowny korektor, który przykryje to świadectwo rękoczynów Scotty'ego, bo jutro będziesz miała fioletowe oko.

- Honorowa odznaka - parsknęła śmiechem. - Przegrałam tę bitwę, ale nie przegram wojny. - Odgarnęła chłopcu włosy z czoła. - Słyszałeś, Scotty? Nie przegram tej wojny.

Już z holu zobaczyła, jak Mark sadowi się w fotelu przy łóżku chłopca. Mark to kolejna wojna, pomyślała, nie bardzo wiedząc, co do niego czuje. Trochę się

zbliżyli i w innych okolicznościach uznałaby to za coś nawet więcej niż przyjaźń. Ale w tej sytuacji? Mark wyjedzie, to nieuchronne.

Gdyby w nadchodzących miesiącach wyniknęło coś więcej, to czyby z nim wyjechała, gdyby ją o to po prosił? Nie. Nie z facetem, który pragnie jej mniej niż ona jego. Ale czy naprawdę go pragnie? A jeśli tak, to jak bardzo?

- Mam w planach naukę jeżdżenia na nartach, ale w tym tygodniu sanki są najprostszym wyjściem.

Dwanaścioro dzieci, dwa razy tyle rodziców, wszyscy z sankami. Projekt się rozrastał.

- Nie spodziewałem się, że to będzie taki sukces. - Mark trzymał pod pachą fioletowe sanki.

- Tak tu jest. Ludzie chcą pomagać. Z tego powodu tu zostałam, mimo że przyjechałam do White Elk tylko dlatego, że tutaj była praca. Od razu zakochałam się w tym miejscu.

- I nie zamierzasz stąd wyjeżdżać? Pokręciła głową.

- To idealne miejsce dla Sarah. Życie w wielkim mieście jest okrutne, byłam tam, doświadczyłam tego. Tutaj czuję się jak w rodzinie, więc dlaczego miałabym wyjeżdżać? - Spojrzała na niego. - A ty dlaczego chcesz wyjechać? Wątpię, żebyś gdziekolwiek był tak mile widziany jak tu. Wszyscy cię tu lubią.

- Ciągle jestem tym, kim byłem. Lekarzem, kimś, w kim ludzie szukają oparcia. Po to opuściłem Kalifornię, żeby przestać być sobą.

- Nie widzę nic złego w byciu sobą.

- Ale zdecydowanie źle jest być mną. - Osłonił oczy, by popatrzeć na zbocze.
- Rozmawiałaś z matką Scotty'ego?

Zmiana tematu nie załatwia problemu, ale da mu spokój. Tym bardziej, że sama ma ochotę pojechać na sankach.

- To ona dała mu słodycze. Podobno przykazała mu jeść odrobinę naraz. Żeby wiedział, że ma jeść mniej.

- Ona nic nie kuma?

- Czegoś się od ciebie nauczyłam.

- Jak to?

- Piorunując ją wzrokiem, powiedziałam jej, że któregoś dnia, kiedy Scotty przesadzi, w pobliżu może nie być nikogo, kto go odratuje. I wtedy Scotty umrze. Uprzytomniłam jej też, że nie zgadzam się, żeby jej syn narażał na ryzyko resztę dzieci, co prawdopodobnie nigdy nie przyszło jej do głowy.

- Myślisz, że się zmieni?

- Mam nadzieję. Często rodzice dziecka z cukrzycą chcą, żeby żyło normalnie i wtedy dieta bierze w łeb. Jutro Walt wygłosi pogadankę o tragicznych skutkach niekontrolowanej cukrzycy. Zaprosiłam na nią wszystkich rodziców. Przyda się im tak samo jak dzieciakom.

- Muszę pogadać ze Scottym. On jeden nie bierze udziału w zabawie. - Patrzył na chłopca, który siedział naburmuszony na ławce.

- Odmawia udziału we wszystkich zajęciach ruchowych - potwierdziła. - Mówi mi, że nie wolno do niczego go zmuszać.

- Martwię się o niego, bo ma za wysoki cukier i za wysokie ciśnienie, a to niszczy mu organizm.

- I dlatego przydzieliłam go tobie - rzekła z uśmiechem, po czym wspięła się na zbocze, usiadła na sankach i puściła się w dół. Nieoczekiwanie zaryła w przymę miękkiego śniegu. Gramoląc się, rozejrzała się, czy Mark jedzie za nią.

Nie było go ani na górze, ani na dole.

- Co ty tu robisz z Sarah? - zdumiała się. - Zostawiłam ją z Emoline.

- Wezwali ją do szpitala, a że wszyscy byli zajęci, to się zgłosiłem. - Trzymał Sarah na biodrze. Prawdę mówiąc, sam namawiał Emoline, przysięgał, że bardzo chętnie zajmie się dzieckiem. I nie żałował tego.

Przy Sarah się relaksował, mógł rozmyślać o swoich młodzieńczych planach, które dawały mu tyle radości, a które wszystkie bez wyjątku okazały się złudne.

- Miałeś mieć teraz zajęcia.

- Zamieniłem się z Waltem. Chciał mieć po południu czas dla Catie, więc się dobrze złożyło, bo Sarah nie miała z kim się bawić. Bardzo nam dobrze we troje.

- Wzrokiem wskazał na Freda.

- Widzę, że jest wniebowzięta.

- Uwielbia sanki.

- Zabrałeś moje dziecko na sanki?

- Nazwijmy to wariacjami na temat - odparł z uśmiechem. - Ale mała zdecydowanie lubi być na dworze. Zrobiliśmy bałwana, doszliśmy do Hornaday Bluff...

- Wspinaliście się i jeździli na nartach? - Angela próbowała wziąć córeczkę, ale ta kurczowo trzymała się Marka.

- Daje nam do zrozumienia, co o tym myśli. - Mark musiał ją przekrzykiwać.  
- Bardzo do ciebie podobna.

- Sarah, myszko, cii...

Myszka jednak była niepokieszona. Zdecydowanie nie podobało się jej w ramionach mamy.

- Wziąć ją od ciebie?

- Co ty jej zrobiłeś? Zahipnotyzowałeś?

- Myślę, że potrafi docenić, jaki jestem miły dla pań. - Gdy wyciągnął ręce, Sarah niemal skoczyła w jego objęcia. I natychmiast się rozpromieniła.

- Mark, jeśli masz jakieś plany...

- Obiecałem, że nauczę ją robić śnieżki. - Dotknął małego noska, na co Sarah stuknęła go paluszką w nos. Uczył ją tej sztuczki prawie godzinę. Żeby zrobić wrażenie na Angeli.

- Czy ona...? Mark, co was łączy?

- Rozumiemy się - odparł. - Sarah mnie uczy, co lubią roczne dzieci.

- Ona nie mówi.

- Nie, ale ma własne zdanie. Jak jej mama. - Kierując się do wyjścia, otworzył drzwi i puścił Angelę przodem. - Co się dzieje z jej ojcem?

- Nigdy jej nie widział. Nie chce się wiązać; Chciał, żebym... - Potrząsnęła głową. - Powiedzmy, że ciąża nie zrobiła na nim żadnego wrażenia. Gdybym podjęła inną decyzję, to pewnie jeszcze przez jakiś czas by ze mną został. Tak przynajmniej mówił. Jego rodzina uwielbia Sarah. Okazała mnie i jej dużo dobroci, ale on nawet nie chciał obejrzeć zdjęć.

- Niesłychane. Szczęściarz jest ojcem takiego ślicznego parowozika, a jest aż tak głupi, że nie chce jej poznać. Głupiec to bardzo łagodnie powiedziane. - Posadził małą na murku otaczającym fontannę, na którym siedziały betonowe żaby, które od razu przykuły uwagę dziewczynki.

- Sarah go nie potrzebuje, a ja jestem zadowolona, że go nie ma. Chcę, żeby otaczali ją wyłącznie dobrzy ludzie, a on nie jest dobry. Nie dla mojego dziecka.

- A jak się kiedyś zjawi? Zmieni zdanie i postanowi poznać uroki ojcostwa?

- Utracił ten przywilej, kiedy kazał mi usunąć ciążę. I go nie odzyska. Ale jemu na nim nie zależy. Nie raz, nie dwa to pokazał. Sarah jest moja, nie jego.

- Idiota.

- Nie przeczę. Ale co można powiedzieć o mnie, która trzymała się go przez tyle lat?

- Ze silna, naiwna, być może zagubiona, ale na pewno nie idiotka.

- Ale mnie samej głupio teraz, kiedy przejrzałam na oczy.

- On, jak moja była żona, jest pomyłką.

- Głupią pomyłką. — Rozbawiona uniosła brwi.

- Różne rodzaje głupoty.

- Czego człowiek nie robi z miłości...

- W moim przypadku to nie była miłość, a raczej incydent urojeniowy.

- Czyli głupi incydent - powiedziała, szeroko się uśmiechając.

- Głupi, niech ci będzie. Ale mam to już za sobą.

- Ja też. Dobrze, że jest Sarah. Ona mi wszystko rekompensuje.

- To zrozumiałe. - Nabrał trochę śniegu. - Sarah, chodzi o to, żeby kulka była gładka i okrągła. - Przyklęknął przed murkiem, by jej pokazać, jak to się robi, mimo że w dalszym ciągu bardziej fascynowały ją żaby. - Kulka musi być gładka i okrągła, żeby można było nią trafić w mamę.

- Namawiasz ją, żeby we mnie rzuciła?

- Jak będzie nastolatką, a ty będziesz wyrywała sobie włosy z głowy z powodu jej wybryków, zatęsknisz za okresem, kiedy były to tylko śnieżki.

- Taa...

- Tak, tak - odezwała się Angela. - Taa też może dostać śnieżką.

- Tego nie przewiduję - burknął, wtykając kulkę do małej rączki. - Trzeba się zamachnąć i... - Popchnął lekko rączkę tak, że kulka wylądowała mu na kolanie.

- Brawo! - zawołała Angela, całując małą. - Świetnie. Ja bym nie wcelowała.

- Chcesz we mnie rzucić?

- Nie. Sarah zrobi za mnie tę brudną robotę. - Lekko ugniotła śnieg i podała go Sarah, która bez niczyjej pomocy od razu nią cisnęła. - No proszę. Ma talent. - Angela z dumą wypięła pierś.

W odpowiedzi dostała garścią śniegu w twarz, co sprawiło, że Sarah zaniósła się śmiechem.

- Zdajesz sobie sprawę, że to oznacza wojnę? - Rzuciła w niego śnieżką.

Schował się za Sarah.

- Mała, pamiętaj, jesteśmy razem.



- Dziecko jako żywa tarcza? - warknęła, unosząc kulę prawie wielkości jego głowy. - Tchórze, wyjdź z ukrycia, a się z tobą rozprawię!

- Sarah, mam jej uwierzyć? - Wsunął jej do rączki trochę śniegu. Tym razem kulka spadła na but Angeli.

Podniosła ją i dołożyła do swojej.

- Tchórz - powtórzyła, zachowując pokerową twarz. Boże, jaka ona jest pociągająca. Czuł to nawet podczas zabawy na śniegu.

- Jestem po prostu lojalny wobec tej królowny. Bronię jej przed złą królową kulek śniegowych.

- Ale zła królowa widzi tylko ciebie. - Wskazała na wielką kulę. - Ta śnieżka jest przeznaczona dla ciebie. Wyjdź z ukrycia, jak przystało na mężczyznę.

- Mam się poddać? - zwrócił się do Sarah. Dziecko wyciągnęło rączkę i pomachało paluszkami.

Należało się tego domyślać, bo bitwa na śnieżki odbywała się w rękawiczkach.

- Widziałaś jej odpowiedź. Zażądała śnieżki. Twojej śnieżki!

- Tak powiedziała?

- To oczywiste jak twój czerwony nos. Królowna zażądała twojej kuli, zażądała, żeby zła królowa się poddała. Przykro mi, ale jej decyzja jest ostateczna.

Angela przyklękła przed Sarah.

- Wobec tego się poddam. - Położyła kulę na ziemi, po czym pocałowała Sarah w policzek. Korzystając z okazji, Mark przejął kulę i...

- Nie! - zapiszczała Angela, przewracając się.

I wtedy Mark opadł na nią, wymachując jej kulą przed nosem.

- To jej rozkaz. Ja tylko jestem sługą!

- Nie zrobisz tego.

- Gdyby to ode mnie zależało, pewnie bym nie zrobił, ale to nie moja decyzja. Sarah...? Co ma być? Śnieżka czy nie?

- Taa...

- Słyszałaś. To ona zadecydowała, nie ja. - Rozpłaszczył jej kulę na twarzy i wcale się nie bronił, gdy się wyswobodziła, by przygnieść go do ziemi. Ta potyczka trwała może pół minuty. Leżąc płasko na śniegu, zajął jej w oczy, szczerząc zęby w uśmiechu. - Wygrałem.

- Moje na wierzchu - obruszyła się. Puścił do niej oko.

- Wiem. I dlatego wygrałem.

Pochyliła się nisko i wyszeptała:

- Doktorze, pan świntuszy. - Rozsmarowała mu resztę śniegu. - Sarah, to był świetny plan. - Zsunęła się z niego, by wziąć Sarah na ręce. - Wcale się tego nie spodziewał.

Prawdę mówiąc, przewidział to, ale nie miał zamiaru się bronić. Kiedy tak we troje leżeli na śniegu, w oczach innych zapewne jak wariaci, poczuł, że jest to jedyne miejsce na świecie, w którym chciałby się znaleźć.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Śpi jak suseł. Zasnęła, zanim ją położyłam. - Weszła do pokoju, cicho zamykając za sobą drzwi.

Mark siedział na kanapie, a na jego kolanach cicho pochrapywał Fred.

- Ona ma niespożytą energię - zauważył. - Nie podejrzewałem, że wytrzyma tak długo.

- Świetnie się bawiła. - Angela usiadła obok niego. - Tak, muszę ją nauczyć cieszyć się życiem. Jak nadarza się coś ciekawego, trzeba to chwycić i kurczowo się tego trzymać. W życiu jest wystarczająco dużo dołujących sytuacji, więc należy cenić te chwile przyjemności.

- Ale sama się do tego nie stosujesz.

- Mark, to nie fair. Moim celem jest jej to pokazać. Zapewniam cię, że potrafię się cieszyć i jestem spełniona. Może to, co mam i robię, ciebie by nie cieszyło, nie dawało poczucia spełnienia, ale ja jestem zadowolona.

Przymknęła powieki, by sobie wyobrazić wszystkie dobre rzeczy w swoim życiu. Ze zdziwieniem oczami duszy ujrzała tam Marka.

- Spełniać się można w trakcie bitwy na śnieżki, a na większą skalę, patrząc, jak marzenia związane z dzieckiem stają się rzeczywistością. Ale jeśli ogranicza się spełnienie do odosobnionych incydentów, traci się z oczu inne wspaniałe rze-

czy, które wydarzają się każdego dnia. Nie chcę, żeby miała taką wąską perspektywę jak ja przez wiele lat, albo jak ty teraz. - Westchnąwszy, zsunęła buty i podkuliła nogi.

- Uważasz, że moja perspektywa jest wąska?

- A nie? Przyjechałeś tu, żeby poprowadzić konkretne szkolenie, po którym wyjedziesz, mimo że być może są tu rzeczy, które by cię przekonały do zostania. Ale ty widzisz jeden cel: jak najszybciej stąd wyjechać, co moim zdaniem jest bardzo wąskim widzeniem świata.

- Mam za sobą wykład poświęcony zdrowiu oczu w kontekście cukrzycy i wykład na temat znaczenia hemoglobiny A1C dla zdrowia człowieka. Ten wykład przeprowadziłem, zauważ, na dworze, na przykładzie bałwana śniegowego. Rozumiesz, im większy brak równowagi między poszczególnymi częściami bałwana, tym bardziej całość jest niestabilna. Czy to jest wąska perspektywa?

- Owszem. Bo kieruje tobą poczucie obowiązku wobec Neila i Erica. Ty sam nie czułeś wewnętrznej potrzeby podjęcia pracy w White Elk. To zasadnicza różnica.

- Nie zgadzam się. Neil i Eric chcą mi pomóc się pozbierać, ponieważ są moimi przyjaciółmi. Oni pomagają mnie, a ja im.

- Bo chcesz się pozbierać?

- Bo nie jestem taki płytki, jak mnie oceniasz. To moi najlepsi przyjaciele i nie mogłem im odmówić, bez względu na okoliczności. Swoje życie mogę spisać na straty, ale przyjaciołom nie mogę sprawić zawodu.

- Wcale nie jesteś taki stracony, jakiego udajesz.

- Czas pokaże, jaki nie jestem. Jak chcesz, możesz nazywać to wąską perspektywą. Dla mnie to jest cel. Ty też masz swoje cele. Z tą tylko różnicą, że moje cele są proste. Zrobić, wyjechać. Nie mam listy.

- Moje cele do czegoś mnie przybliżają, a twoje cię oddalają.

- Tak, to prawda. Oddalają mnie od wszystkiego, od czego chcę uciec. Twoje cele są szczytne, moje mają umożliwić mi przetrwanie. Są egoistyczne. - Przełożył Freda na kanapę, po czym położył sobie na kolanach jej stopy i zaczął je masować.

- Różne masz wady, ale nie jesteś egoistą. - Usadowiła się wygodnie na poduszkach. To miłe, że Mark jej tak dogadza. To dla niej całkowita nowość, ale bez trudu mogłaby się do tego przyzwyczaić.

- Mark, nie musisz tego robić - powiedziała, modląc się, by jej nie posłuchał.

- Gdybym był tak ograniczony, jak sugerujesz, mógłbym się z tobą zgodzić. Ale z mojej ograniczonej perspektywy widać, jak biegasz trzydzieści kilometrów dziennie między hotelem a Sarah. Wiem też, że kierujesz stąd swoim zespołem szpitalnych dietetyków. Więc, patrząc z tej nie tak wąskiej perspektywy, uważam, że twoje stopy zasłużyły na masaż.

Jego palce czyniły cuda, aż poczuła się jak w niebie. Westchnęła.

- Nieźle jak na człowieka o ograniczonych poglądach na życie? - zapytał.

- Niewykluczone, że zmienię zdanie, bo pierwszy raz ktoś mi masuje stopy, a to takie...

- Czy on ci kiedykolwiek sprawiał przyjemności?

Rozpieszczał cię? Dowiaduję się, że jako pierwszy dałem ci kwiaty, ale trudno mi uwierzyć, że pierwszy masuję ci stopy. Otrząsnęła się.

- Słucham?

- Pytam, czy twój były sprawiał ci przyjemności? Zastanawiała się, cofnęła pamięcią do czasów, kiedy to ona rozpieszczała, robiła masaże stóp i pleców.

- Chyba nie. Ale wtedy tego nie dostrzegałam.
- Ale cię nie krzywdził? Pokręciła głową.
- Fizycznie nie. Brad nie jest człowiekiem gwałtownym. Ale bierze pod uwagę wyłącznie własne emocje.
- A ty tego nie widziałaś?
- Och, chyba widziałam, ale łudziłam się, że go zmienię, tylko nie przyszło mi do głowy, że czego innego oczekujemy od życia.

Nie jesteś na niego wściekła za Sarah? Za to, że się nią nie interesuje.

- Może powinnam, ale nie, nie jestem zła. Współczuję mu, że tyle traci, ale on nie byłby dobrym ojcem. Nie wiedziałaby, jak postępować w sytuacji, w której ktoś wymaga więcej opieki niż on. Jego strata.

- Podziwiam cię. Bo ja ciągle jestem zły na Norah i nie podejrzewam, żeby to kiedykolwiek się zmieniło.

- Jak będziesz nosił w sobie ten gniew, to będziesz jak sparaliżowany, będziesz dreptał w miejscu.

- A może nie chcę się go pozbyć? Ona na to zasłużyła.

- Ona może tak, ale ty nie. Ty za to zapłacisz, nie ona. Jej tu nie ma, więc tego nie odczuwa ani nie widzi. Więc ten gniew jest skierowany przeciwko tobie.

Tak mocno ścisnął jej stopę, że aż się skrzywiła.

- To dlatego, że zginął twój teść? Dlatego jesteś zły na siebie? Nie zawsze trudny wybór przynosi oczekiwany rezultat. Przykładem może być Eric. Dwa miesiące temu stracił pacjentkę, małą dziewczynkę. Miała białaczkę, a on robił wszystko, żeby jej stan się poprawił. Wiem od Dinah, że nie spał, nie jadł... Gdy

umarła, przez dwa dni siedział w ciemnym pokoju. Ale w końcu to zaakceptował, bo lekarz nie ma innego wyjścia. Wiem też, że i ty masz podobne doświadczenia.

- Pacjenci to nie to samo.

- Możliwe. Sam mi powiedziałeś, że najpierw chciałeś ratować żonę.

- Rzecz w tym, że on chyba wiedział, że umiera, ale wiedział też, że moja żona jest... w ciąży.

- Jak to?

- Bardzo wczesnej. Nie powiedziała mi o tym, ale ojciec wiedział. I dlatego chciałem, żebym ją ratował.

- Doskonale to rozumiem. Gdyby chodziło o mnie i o Sarah... Sarah zawsze byłaby pierwsza. - Tak mocno ścisnęła jej stopę, że aż usiadła. - Nie możesz mieć do niego żalu, ani do siebie o to, czym się to skończyło. To nie ty dokonałeś tego wyboru.

- Nie ja - przyznał. - Ale jestem wściekły o to, jak się to skończyło.

- To dziecko... Twoja żona...?

- W szpitalu lekarz mi powiedział, że miała dużo szczęścia. Że ma poharataną twarz i to będzie wymagało operacji plastycznej, ale dopiero, jak urodzi. Tak się dowiedziałem... - Ściągnął brwi. - Potem przez miesiąc cieszyłem się ciążą, jednocześnie pocieszając żonę po śmierci ojca, starając się zapewnić jej jak najwięcej spokoju. Nie dostrzegałem, że ona jest gdzie indziej. Że myśli wyłącznie o utraconej urodzie. Że nienawidzi mnie z powodu ojca. To ja spowodowałem wypadek, to ja nie uratowałem ojca. Jej blizny...

- To też twoja wina.

- Znosiłem to, bo uważałem, że Norah musi mieć winnego. Byłem przekonany, że jak dziecko się urodzi, sytuacja ulegnie poprawie. Czułem, że ten związek nie ma szans, ale przecież chodziło o... - Zamyślił się. - Pewnego dnia Norah bez słowa zniknęła. Odchodziłem od zmysłów. Nawet wynająłem prywatnego detektywa, ale jej nie znalazł. Dwa miesiące później zjawiała się w domu. Bez blizn i bez dziecka. Przerwała ciążę, bo chirurg powiedział, że w ciąży nie będzie jej operował.

- Ojej... Nie wiem, co powiedzieć.

- Za to ona poinformowała mnie, że zaszła w ciążę tylko dlatego, że ojciec bardzo chciał mieć wnuczka, a ponieważ ojciec zmarł, nie było powodu donosić ciąży.

- I nic ci nie powiedziała. Niczego nie przeczuwałaś?

- Może powinienem, ale kolejny raz przeoczyłem coś oczywistego. I jak w tym kontekście wygląda traumatolog? - Zamknął oczy.

- Ale gdybyś wiedział, mógłbyś temu zapobiec?

- Setki razy zadawałem sobie to pytanie. Może nawet mógłbym ją przekonać, żeby odczekała kilka miesięcy. Byłbym skłonny błagać ją na klęczkach, ale...

- To ona zrobiła, co chciała. Mark, to nie twoja wina. To ona podjęła tę potworną decyzję.

Oparł głowę na oparciu kanapy i wbił wzrok w sufit.

- Dziwi cię, że chcę rzucić medycynę? Przepuściłem coś, co miało być najważniejsze w moim życiu.

- Bo tak zadecydowała Norah. Ukryła to przed tobą. - Zawahała się. - W zeszłym miesiącu przypaliłam gulasz.



- Co takiego?!

- Gulasz. Wołowina, pomidory, cebula, czosnek, papryka... Spalił się na węgiel.

- I co z tego?

- Nic, gulasz nie trudno przypalić, ale nie była to pierwsza potrawa, którą straciłam.

- Porównujesz to z moją sytuacją? Ty straciłaś gulasz, a ja...

- Nie mówię o stratach, a o oczekiwaniach. Jestem pewna, że mój następny gulasz będzie wyśmienity. Skąd ta pewność? Bo wiem, że to potrafię. I że mi się uda. Za to ty straciłeś motywację do tego, co wiesz, że potrafisz. Widzisz same straty, a nie szansę na powodzenie. Kurczowo trzymasz się przeszłości, bo jest ci łatwiej obwiniać się za to, co przeoczyłeś albo czego nie przewidziałeś, niż pójść do przodu, opierając się na przekonaniu o tym, co potrafisz. Ja mam głębokie przekonanie, że potrafię ugotować gulasz, a ty co wiesz o swoich możliwościach?

- Angela, o co chodzi?! Czego ty chcesz ode mnie?!

- Zarzucasz mnie pytaniami, zamiast powiedzieć, że wiesz, że jesteś dobrym lekarzem. Myślę jednak, że sam się okłamujesz, uciekając od tego, co ci przypomina o tym, co rzekomo straciłeś, bo gdybyś sobie pozwolił uwierzyć, że jesteś dobrym zawodowo, wystawiłbyś się na ryzyko ponownego cierpienia. Albo musiałbyś przyznać, że jesteś po ludzku słaby. Wywindowałeś siebie na piedestał tak wysoko, że straciłeś siebie z oczu. Najtrudniej jest ci pogodzić się z faktem, że ten piedestał się przewrócił. Od tego uciekasz. Od tego, że jesteś taki sam jak reszta ludzi. Ale wiesz co? Nie jesteś nadętym doktorem, który zawsze jest naburmuszony. To jest maska. Żeby nikt się nie zorientował, że boisz się oczekiwań, które sobie wyznaczyłeś. Jako lekarz bardzo się przejmujesz, ale nie chcesz, żeby ktoś to zauważył. Nie wiem dlaczego. Nie rozumiem, dlaczego tyle od siebie oczekujesz. Zerwał się z kanapy

- Wiesz co?! Dopisz do swojej listy kolejną pozycję: psychoterapeuta. Uważasz, że znasz remedium na wszystkie problemy. Ja się chowam za nierealistycznymi oczekiwaniami, a ty za tysiącem oczekiwań, ja chcę osiągnąć za mało, a ty za dużo. Tak, uciekam, ale ty też uciekasz. Tylko inaczej.

Jego podniesiony głos obudził Sarah, więc Angela błyskawicznie zerwała się z kanapy. Gdy wróciła, Marka już nie było. Ani Freda.

- Mówię ci, słonko, tylko my dwie. Nikogo więcej nie potrzebujemy. Zwłaszcza...

- Taa...

- Masz rację, zwłaszcza taa - mruknęła bez przekonania. - Ale on genialnie masuje stopy. - Wystarczyło jednak, że spojrzała na córeczkę. - Masaż nie masaż, Mark nie jest nam potrzebny. Nawet jeśli go pragniemy. Ale my go nie pragniemy, prawda, słonko?

- Wyglądasz na zmęczoną. - Dinah wzięła Sarah od Angeli.

- Źle spałam.

- Dzieciaki cię budziły?

- Nie. Padły po zajęciach na dworze. I chyba zmiana diety też się do tego przyczyniła.

- Scotty?

- Scotty jest w porządku. Bardzo się stara dorównać innym dzieciom. Pilnie go obserwujemy i mu wpajamy, że nawet jeden batonik może mu zaszkodzić. Na razie się udaje. Mark ma fantastyczne podejście do dzieci. Przepadają za nim.

- A ty nie?

- Czy to ważne?
- Rozmawialiście?
- Myślę, że już przepadło. - Angela potrząsnęła głową. - Skończyło się, zanim się zaczęło.
- Myślisz, że nie warto spróbować drugi raz?
- Mam teraz tyle na głowie...
- Hm, im bardziej jesteś zajęta, tym bardziej nie musisz się angażować na poziomie, na którym musiałabyś podjąć ryzyko. Innymi słowy, chowasz się za swoimi celami i ambicjami. Otaczasz się nimi, żeby nikt nie miał do ciebie dostępu i żeby znowu cię nie zranił.

Mark praktycznie powiedział to samo.

- Nieprawda!
- I chcesz, żeby tak było do końca życia? Bo jak się odetniesz od ludzi takich jak Mark, to taka czeka cię przyszłość. - Pogładziła Sarah po buzi, po czym zwróciła się do siostry. - Nie chcę ci prawić kazań, ale czuję, że jak ostatecznie uwolnisz się od Brada, to zastanowisz się nad przyszłością. A na razie informuję cię, że dziewczynki wydają herbatkę na cześć Sarah, zaprosiły koleżanki, więc wpadnij, jak będziesz miała czas.

Angela wycisnęła pożegnalnego całusa na policzku córki.

- Słonko, powiedz cioci, że twoja mamusia ma się doskonale.
- Doskonale i samotnie - mruknęła Dinah. - Jak to ci odpowiada, to już nic więcej nie powiem. Ale... - poklepała się po brzuchu - co byś powiedziała na jeszcze jedno?
- O czym mówisz?

Dinah szeroko się uśmiechnęła.

- Chyba wiesz!

Doznawszy olśnienia, Angela entuzjastycznie uścisnęła siostrę.

- Kiedy się dowiedziałas?

- Dzisiaj rano zrobiłam próbę.

- Co na to Eric?

- Wniebowzięty. Jeszcze nikomu nie powiemy, ale miło jest mieć taki siostrzany sekret. Tobie też tego życzę.

- Cieszę się, bardzo się cieszę. - Angela miała w oczach łzy wzruszenia.

- Wiem, ale bym chciała, żebyś ty też była szczęśliwa. Pędzę, bo dziewczynki się niecierpliwia. - Dinah pocałowała siostrę w policzek. - Herbatka jest o trzeciej. Wpadnij, jak będziesz wolna.

Angela odprowadziła je do drzwi, ale gdy je zamknęła, ogarnęło ją uczucie pustki. Wewnętrznej.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Kto to jest? - Angela zwróciła się do Emoline, wskazując na kobietę, która nerwowo przemierzała hol.

- Karen Landry. Pytała o doktora Andersona.

- Po co?

- Chce się z nim widzieć. Natychmiast. Nie chce rozmawiać z nikim innym. - Emoline pokręciła głową. - Ale jego komórka nie odpowiada. Chyba ma spotkanie z którymś dzieckiem, więc nie będę mu przeszkadzać.

- Słusznie. Ja się nią zajmę.

- Wątpię, czy to się jej spodoba. Angela się nastroszyła.

- A mnie się nie podoba, że kręci się po holu. To jest miejsce prywatne i nie życzę sobie osób postronnych. - Energicznym krokiem podeszła do nieznajomej. - Co mogę dla pani zrobić?

- Już mówiłam tej kobiecie, że muszę się zobaczyć z doktorem Andersonem.

- Doktor Anderson jest zajęty. I będzie zajęty do południa.

- To pilna sprawa. Tylko on może się tym zająć. On zrozumie.

Angela podała jej swoją komórkę.

- Jeśli to takie pilne, niech pani zadzwoni do szpitala. Tam też ktoś to zrozumie. To jest numer...

- Nie! - krzyknęła pani Landry. - Czy wy nic nie rozumiecie? Muszę się widzieć z doktorem Andersonem. Natychmiast!

- O co chodzi? - zapytała Angela. - Proszę mi wyjaśnić.

Kobieta chwilę się zastanawiała, po czym westchnęła.

- Chodzi o Aimee, moją córkę. Przywiozłam ją tu wczoraj wieczorem. Kazałam jej usiąść w holu i czekać, aż ktoś się nią zainteresuje. Miała powiedzieć, że czeka na doktora Andersona.

Angela struchlała.

- Emoline, sprowadź Marka! O której ją tu pani zostawiła?

- Koło siódmej. Powiedziałam jej, co ma robić, więc nie rozumiem, co się mogło stać.

Boże, nikt tego dziecka nie zauważył.

- Zaraz, powoli. Zostawiła ją pani w hotelu i jej stąd nie zabrała? I dlatego teraz tu pani jest?

Kobieta przytaknęła.

- Nie niepokoiłam się, bo wiedziałam, że tutaj jej się nic nie stanie. Wiem od doktora Andersona, że jest tu teraz obóz dla dzieci. Ale dzisiaj rano, jak nikt do mnie nie zadzwonił... - Potarła czoło. - Zgubiła ją pani?

- Ile lat ma córka?

- Pięć.

- I nie ma jej od wczoraj od siódmej? Czternaście godzin! I pani dopiero teraz jej szuka?!

- Była tutaj, w hotelu. Na pewno ktoś się nią zaopiekował. To jest pani rola, prawda?

- Co się stało? - Mark wbiegł do holu.

- Doktorze... - Pani Landry niemal rzuciła mu się na szyję. - Moja biedna Aimee... Ta kobieta ją zgubiła! - Spiorunowała Angelę wzrokiem.

Mark odsunął się od pani Landry, po czym spojrzał na Angelę.

- O czym ona mówi?!

- Ta pani twierdzi, że wczoraj wieczorem przywiozła tu Aimee na spotkanie z tobą. I od tej pory nie ma o niej żadnej informacji.

- Co pani zrobiła?! - Poczzerwieniał. Pani Landry zalała się łzami.

- Byłam przekonana, że zadzwoni pan do mnie, żebym ją zabrała, albo sam odwiezie ją do domu. Pomyślałam...

Odwrócił się do niej plecami i zwrócił do Angeli.

- Ktoś widział Aimee?

- Dzwonię do wszystkich z tym pytaniem! - zawołała Emoline. - Na razie nikt sobie jej nie przypomina.

- Jest pani pewna, że Aimee jest tutaj? - Angela z trudem zachowywała spokój. - Czy wymyśliła to pani, żeby ściągnąć na siebie uwagę? - Rzuciła Markowi pytające spojrzenie.

- To do niej podobne.

- Co takiego?! Miałabym z premedytacją skrzywdzić własne dziecko?

Angela i Mark zignorowali ją.

- Mamy za mało ludzi, żeby przeszukać cały hotel, a co dopiero szukać jej na dworze. I nie możemy zostawić innych dzieci bez opieki - stwierdził Mark.

Potakując, Angela wybrała numer siostry.

- Dinah, powiedz Ericowi, że mamy wypadek w hotelu. Potrzebujemy wszystkich ochotników, których uda mu się zwerbować. Zaginęło dziecko. - Rozłączyła się.

- Przeszukam parter - zaofiarował się Mark. Rozejrzał się, na moment zamknął oczy, po czym obrócił się o trzysta sześćdziesiąt stopni, zapewne analizując sytuację. - Aimee na pewno stąd nie wyszła. Jest nieśmiała, drobna jak na swój wiek i przygaszona. - Potarł kark. - Nie weszła na piętro, bo nie miałaby siły otworzyć drzwi na schody, a do przycisku windy by nie dosięgła. Co najwyżej za pomocą długopisu albo patyka. - Spojrzał spode łba na panią Landry. - Chyba że ktoś ją poinstruował.

Kobieta chciała coś powiedzieć, ale uciszył ją gestem.

- W tym układzie zaczniemy od dołu - powiedziała Angela. - Ty weź wschodnie skrzydło budynku, ja zachodnie. Jak przyjdą ochotnicy, wyślemy ich na resztę pięter, o ile jeszcze jej nie znajdziemy. - Mijając recepcję, zwróciła się do Emoline. - Pilnujcie dzieci. Nie chcę, żeby brały udział w poszukiwaniach. Zawiadam mnie, jak przyjedzie Eric. - Zniżyła głos. - Zawiadam też policję. Jak Aimee się znajdzie, nie chcę, żeby wracała do domu z matką. Tę sprawę musi wyjaśnić policja.

Emoline przytaknęła, po czym uścisnęła Angełę.



- Zajmę się wszystkim, a wy róbcie, co do was należy. Mark pociągnął Angelę za rękę.

- Nie dzielę swoich zespołów - powiedział. - Podczas każdej akcji ratunkowej pracujemy parami. Ze względów bezpieczeństwa, nawet na terenie hotelu.

Nie polemizowała.

We wschodnim skrzydle trwał remont, więc zamontowano tam prowizoryczne drzwi. Angela z całej siły szarpnęła klamkę. Zamknięte.

- Dziecko, które chce się ukryć albo przed czymś ucieka, jest nieobliczalne. Znajdowałem już dzieciaki w miejscach, które trudno sobie wyobrazić. Jeśli to robota matki, to Aimee może być wszędzie.

- Myślisz, że matka sama gdzieś ją ukryła?

- Nie wykluczam takiej możliwości. Aimee regularnie bywa w izbie przyjęć, chociaż nic jej nie dolega.

- Czytałam o zastępczym zespole Muenchausena, zaburzeniu polegającym na wywoływaniu u bliskiej osoby objawów chorobowych w celu ściągnięcia uwagi na siebie.

- Bardzo dobrze - powiedział Mark z uznaniem. -Pani Landry niewiele brakuje... - Dopiero po chwili dopasował klucz do zamka.

- Co zrobimy z Aimee, jak ją znajdziemy? - zapytała. - Bo po czymś takim nie można jej oddać matce.

- Nie wiadomo, czy tak będzie.

- Że ją znajdziemy?

- Należy zawsze mieć nadzieję na dobre zakończenie, ale czasami zdarza się najgorsze. Musisz być na to przygotowana.

- Można się z tym oswoić?

- Nie. Dobry ratownik się z tym nie oswaja.

- Wobec tego będę myśleć pozytywnie. Znajdziemy Aimee żywą i w dobrym stanie i zrobimy wszystko, żeby w przyszłości zawsze była pod właściwą opieką.

Objął ją i przytulił.

- Kocham twój optymizm - szepnął jej do ucha. - On też jest pierwszy na mojej liście.

- Masz listę?

- Bardzo sympatyczną i z każdą chwilą coraz dłuższą. Serce zabiło jej szybciej.

- Pokażesz mi ją?

- Może. - Wyjął z kieszeni minilatarkę i poświecił po przestronnej sali bankietowej, w której na czas malowania okna zasłonięto papierem. - Aimee! - zawołał cicho, by jej nie przestraszyć. - To ja, doktor Anderson. Aimee, jesteś tu?

Gdy zawrócili do holu, ujrzeli Emoline i bardzo przestraszonego Scotty'ego.

- On chce wam coś powiedzieć. - Emoline pchnęła go lekko w ich stronę.

- Nie mogę jej znaleźć. - Scotty był bliski łez.

- Kogo? - zapytał Mark.

- Tej dziewczynki. Chciałem pomóc, ale już jej tam nie ma.

- Gdzie?

- Schowała się za fotelem.

- Kiedy? - Angela przykucnęła przed nim. - Ona ma na imię Aimee. Kiedy ją widziałeś?

- Wczoraj wieczorem. Była głodna, to dałem jej... ciasteczka. Aleja ich nie jadłem! Były w mamy biurku, ale dałem je tej dziewczynce. Nie zjadłem ani jednego. A potem wróciłem do sali.

Ten hotel to bardzo dobre miejsce, ale zdecydowanie za duże, pomyślała Angela.

- Widziałeś ją po tym, jak dałeś jej ciastka? Chłopiec przytaknął.

- Jak wyjrzałem przez okno.

- Dzisiaj rano?

- Nie. Po ciszy nocnej. Byłem głodny i... - Zamrugał powiekami. - Nie jadłem nic złego. Tylko te surowe warzywa, które mi pani kazała.

Rozczulona przytuliła chłopca.

- Scotty, spisałeś się na medal. Jestem z ciebie dumna. Wiesz, dokąd poszła?

- Do domu. Mówiła, że chce do domu. Angela spojrzała na Marka.

- To znaczy...? - zapytała.

- Pani Landry mieszka po drugiej stronie Środkowej Siostry.

- Oby sprawdziła się legenda o Trzech Siostrach, które mają w swojej opiece każdego, kto znajdzie się w ich cieniu, bo to kawał drogi. Nie wiem, czy pięcio-

latak orientuje się w kierunkach. - Popatrzyła na Scot-ty'ego. - Widziałeś, w którą stronę poszła?

- W stronę parkingu na tyłach hotelu.
- Dziękuję. Teraz wracaj do grupy. I już się nie oddalaj. Obiecujesz?

Pokiwał głową.

Jego matka pracowała w hotelu, więc tu był jego dom, Angela zatem miała pewność, że chłopiec wie, co mówi. Potem rozmawiała przez telefon z Erikiem, który już zebrał ekipę. Poinformowała go, że Aimee prawdopodobnie poprzedniego wieczoru opuściła hotel.

Czy Aimee jest ciepło ubrana? Jak bardzo się boi? Czy jeszcze żyje? Stopniowo zaczynała patrzeć na sytuację oczami Marka, przygotowując się na różne zakończenia. Dobre i złe.

Gnana potrzebą chwili zadzwoniła do siostry, żeby usłyszeć głosik Sarah.

- To jest całus w prawy policzek, a to w lewy...

Wróciwszy do holu, usłyszał te głośnie całusy i paplaninę Angeli. Niezwykła kobieta... Przez chwilę nawet żałował, że zarzucił jej chowanie się za ambicjami. Nie chowa się za nimi, ona nimi żyje, czerpie z życia całymi garściami, podczas gdy on zadowala się... czym?

Nic go nie cieszy. Jedynie towarzystwo Angeli. Kolejna pozycja na coraz dłuższej liście jej niezwykłych cech.

- Musimy się zbierać - powiedział. - Ubieraj się.
- Nie jestem ratownikiem. Nie należę do zespołu i nie chcę wam przeszkadzać. Mark, po raz pierwszy to rozumiem.
- Ale teraz chcę, żebyś poszła ze mną. - Uśmiechnął się, podając jej dłoń.

- Jesteś pewien?

- Nie zamierzałem spotkać cię w White Elk. Ani nigdzie indziej. I bardzo mnie peszy, że cię poznałem. Ale tak, chcę, żebyś ze mną poszła. Masz dziesięć minut. Ubierz się ciepło', bo to może się przedłużyć.

Mark chce, by z nim poszła. Ale jak bardzo?

- W budynku jej nie ma! - zawołał Eric z drugiego końca korytarza. - Zostawię tu kilku ludzi, a resztę zabieram na dwór. Jest już Neil z zespołem. Zaczną od podnóża wzgórz i będą szli pod górę, a my zaczniemy od góry.

- W takim razie ja będę szukał śladów w połowie zbocza - odezwał się Mark. - Idzie ze mną Angela. - Na oczach wszystkich pocałował ją w usta, po czym odszedł na bok, by naradzić się z Neilem i Erikiem.

- On już nie jest nadęty - zauważyła Emoline. - Zastanawiałam się dlaczego, ale chyba już wiem.

Po trzech godzinach poszukiwań Mark zarządził chwilę odpoczynku. Obszar nie był duży, bo Mark, Eric i Neil doszli do wniosku, że Aimee jest za mała, żeby zawędrować daleko.

- Myślisz, że pani Landry kłamie? - Usiadła obok niego pod sosną. - Rozważaliśmy taką możliwość, ale może...

- Takie poszukiwania mają to do siebie, że czasami nie wiadomo. W takiej sytuacji jak ta trzeba wziąć pod uwagę różne ewentualności, a ratownikowi pozostaje wierzyć, że poszukiwanie jest uzasadnione.

- Dzięki, że mnie zabrałeś. Boję się, że cię spowalniam, ale...

- Teraz przyda się każdy, kto ma dobry wzrok, bo szukamy jakichś śladów.

- Ale w programie szkolenia...

- Są zaawansowane techniki poszukiwawcze, medycyna w terenie, techniki przetrwania. Tu już nie wystarcza dobry wzrok. Ja... - Zawahał się, kaszlnął. - Poszukuję od dziecka. Można powiedzieć, że nie robiłem nic innego.

- Mark, kogo poszukujesz?

- Pamiętasz, jak cię namawiałem, żebyś nie skreślała Scotty'ego?

Przytaknęła.

- Miałeś rację. On już bardzo się poprawił.

- Miałem rację, ale nie dlatego, co myślisz. Jak byłem w wieku Scotty'ego, porzucił mnie ojciec. Pewnego dnia wyszedł i nie wrócił. Powiedział wtedy, że to przeze mnie, że ma mnie dosyć, że kosztuję go za dużo czasu. Gdybyśmy Scotty'ego wyrzucili z obozu, czułby się winny, dokładnie tak jak ja wtedy.

- Dobrze, że mnie przekonałeś.

- Wiedziałem, do czego zdolny jest siedmiolatek, który czuje się odtrącony. Matka nie bardzo się mną interesowała, więc robiłem wszystko, żeby stać się trudnym dzieckiem, o którym mówił ojciec. Na początku chciałem, żeby wrócił, chciałem mu obiecać, że będę grzeczny, ale z czasem zacząłem marzyć o konfrontacji, aby mu pokazać, jaki jestem zły. Wszędzie go szukałem. Kradłem w sklepach, demolowałem mienie publiczne, chuliganilem. Nic groźnego, ale byłem na dobrej drodze, żeby zejść na manowce. Usprawiedliwiałem to tym, że jestem taki zły, że przeze mnie rodzice się rozeszli.

Pewnego dnia w osiedlowym sklepiku jeden kolega ukradł papierosy, drugi piwo, a ja jak zwykle coś słodkiego. Mieliśmy po czternaście lat. Złapali nas. Mnie po raz pierwszy. Spędziłem noc w celi, a rano w kajdankach zaprowadzono mnie na salę sądową. Tym razem już nie byłem taki hardy. Trząsałem portkami ze strachu. Kiedy szedłem na salę, zaczepił mnie jakiś facet. Zapytał, czy przyszli

moi rodzice, ja coś odwarknąłem, ale on się uśmiechnął, a potem zapytał, czy to mój pierwszy raz. Żeby zaszpanować, powiedziałem, że to pierwszy raz, kiedy mnie złapali. Pokiwał głową i zadał mi dziwaczne pytanie: Chcesz, żeby cię złapali po raz drugi?

Po raz drugi? Ta noc w areszcie była największym koszmarem w moim krótkim życiu. Nie wiem, co on we mnie zobaczył, ale zapytał, czy chcę dostać drugą szansę. Natychmiast odparłem, że tak. Tego dnia zacząłem nowe życie. Tom Evigan został moim mentorem. Jako lekarz wolontariusz pracował w poprawczaku. Nie wiem, co by ze mną było, gdyby nie on. Przez rok kazał mi myć podłogi i opróżniać kubły w gabinecie, a raz w tygodniu zabierał mnie do szpitala, gdzie... - Uśmiechnął się. - To doświadczenie otworzyło oczy zbuntowanemu nastolatкови. Do moich obowiązków należało wynoszenie nocników i mycie misek po wymiocinach. Przez cały rok. Przez cały rok obserwowałem, jak inni robią coś... wartościowego. To on skierował moją pasję poszukiwawczą na inne tory. Był lekarzem w bazie ratowników w Kalifornii i zaczął mnie tam zabierać. On dosłownie uratował mi życie.

- Pogodziłeś się z tym, że ojciec cię odrzucił?

- Tak i nie. Miałaś rację, mówiąc, że mam wobec siebie nierealistyczne oczekiwania. Ale to chyba dlatego, że staram się udowodnić ojcu, że już nie jestem tym potworem, którego porzucił. Tom mnie zmienił, ale nie udało mu się wykorzenić ze mnie tego upokorzonego dziecka.

- Tom Evigan otoczył cię miłością i zobacz, jak pokierowałaś swoim życiem. Nie musisz nikomu niczego udowadniać, nawet ojcu. - Położyła mu rękę na pierśsi. - Kierujesz się sercem. Rozstanie z medycyną, żeby wyjść z cienia ojca, od niczego cię nie uwolni.

- Z cienia ojca?

- Powiedział, że jesteś złym dzieckiem. Potwierdziłeś to, obwiniając się o śmierć teścia.

- Jak zerwę z medycyną, raz na zawsze od niego się uwolnię.

- Ale ty kochasz ten zawód. Jesteś mu oddany od rana do wieczora. Co jest dla ciebie najważniejsze?

Wzruszył ramionami.

- Kurczę, nawet nie wiem, dokąd zmierzam, i dopóki nie będę tego wiedział, nie mam prawa do tego, co najważniejsze.

- Kiedy Brad mnie rzucił, byłam zrozpaczona, ale im dłużej byłam sama, tym silniej czułam, że już nie jest mi potrzebny. I to stało się moim drogowskazem. Świadomość, jaka być nie chcę, pomaga mi stawać się taką, jaką chcę być. Mark, tobie też tego trzeba. Nie dokąd zmierzasz, ale gdzie już nie pójdziesz.

- Już powiedziałem, że nie spodziewałem się spotkać ciebie, że nie oczekiwałem niczego dobrego w White Elk.

Przysunęła się bliżej.

- Mówisz to tak, jakby to, że mnie spotkałeś, było czymś złym.

- Nie, to było jak nieoczekiwane wyzwanie. Ale zdecydowanie nic złego. - Uścisnął ją, wstał i podał jej rękę. - Pora się ruszyć.

- Wodzu, prowadź. Podążam za tobą.

- Akurat. Od dnia, kiedy cię spotkałem, jesteś zawsze krok przede mną. Dopiero teraz to do mnie dotarło.

- Ale się z tym godzisz? - Śmiejąc się, zarzuciła sobie plecak na ramię.

- Kocham to. Oraz ciebie. - Musnął ją wargami. - Później pokażę ci, jak bardzo, ale teraz wejdę na tę półkę skalną. Może stamtąd będzie widać więcej niż z dołu. Idź równolegle ze mną.



Przeszli kilkaset metrów, gdy jej uwagę przyciągnęła szczelina w skale.

- Mark! Mam coś! - Fragment śladu buta na śniegu nieopodal szczeliny. - Aimee! - zawołała półgłosem. - Aimee, słyszysz mnie? Aimee!

Cisza.

Pokazała Markowi podeptany śnieg.

- Aimee, to ja, doktor Mark. Przyszliśmy zabrać cię do domu. Słyszysz mnie? - Milczenie. - Aimee, odezwij się.

Coś się poruszyło.

- Zwierzak? - zapytała Angela, spoglądając na szczelinę. - Chyba tylko małe zwierzątko by się tu przecisnęło.

- Aimee!

Tym razem usłyszeli cichy jęk.

- Eric! - zawołał Mark przez walkie-talkie. - Chyba ją mamy, nie wiem, w jakim jest stanie, jeszcze jej nie obejrzałem, ale mamy problem. Siedzi w szczelinie, ale chyba sama nie wyjdzie. Potrzebny nam ktoś mały...

- Ja się tu zmieszczę - powiedziała Angela. Kręcąc głową, dalej rozmawiał z Erikiem.

- Nie wiem, kogo tam masz, ale to musi być ktoś naprawdę mały.

- Ja jestem mała!

- Ale nie masz doświadczenia, Angela...

- Mamy czekać bezczynnie? Wcisnę się...

- Nie!

- Mark, nie jestem twoim ojcem. Ja wrócę. Ona mnie potrzebuje. Siedzi tu tak długo, że na pewno jest wychłodzona. Mam ciebie, wiem, że mi pomożesz.

Mierzył ją wzrokiem, który stopniowo łagodniał.

- Tak, masz mnie. Załóż uprząż. Jak nie będziesz mogła samodzielnie wyjść, to cię wyciągnę.

Połączył się z Neilem.

- Wysłałam Angelę. - Zakończył połączenie. - Gotowa?

Przytaknęła.

- A ty?

W odpowiedzi pocałował ją w policzek.

- Wcale nie chciałem cię pokochać. Chyba to zauważyłaś.

- Ja też nie chciałam się w tobie zakochać. - Gdy ich spojrzenia się spotkały, słowa stały się zbędne. Przyklękła. - Widzisz? Jestem przygotowana. Mam nawet ochraniacze na kolana.

- Dużo o tobie myślałem, ale nigdy, że mogłabyś być nieprzygotowana. Pamiętaj, jak uznasz, że nie jesteś w stanie czegoś zrobić, nie rób tego. Nie wolno ci pakować się w sytuację, w której to ciebie trzeba będzie ratować.

Wciskała się za światłem latarki, wpełzała w coraz bardziej mroczną czeluść.

Dlaczego Aimee ukryła się w takim miejscu? Żeby poczuć się bezpieczniej niż... niż z matką.

- Aimee! Słyszysz mnie? Mam na imię Angela i idę po ciebie.

Bez odzewu. Wstrzymała oddech, nasłuchując. Otaczały ją nieprzeniknione ciemności. Czy ktoś jęknął, czy to jej wyobraźnia?

- Skarbie, idę po ciebie. - Zorientowała się, że już nie trze ramionami o skałę, słyszała bicie swojego serca, czuła, że jest blisko.

- Aimee...

- Pomocy.

Skąd dobiega to błaganie? Rozglądała się, wypatrując jakiejś niszy.

- Gdzie jesteś? Brak odpowiedzi.

- Aimee, gdzie jesteś? Powiedz.

- Ona będzie się gniewać. Była już bardzo blisko.

- Nie będzie, Aimee.

- Ale jej nie posłuchałam.

Nareszcie. Dwa metry niżej. W świetle latarki ujrzała skuloną postać tulącą pluszowego misia. Dziewczynka drżała na całym ciele.

- Widzę ją! - krzyknęła Angela. Mark jest całkiem blisko, pomyślała. Jakieś kilkanaście metrów wyżej. -Schodzę do niej.

- Ranna?

- Nie wiem. Zaraz ci powiem.

- Jak głęboko?

- Około metra. Dam radę.

- Angela, nie ryzykuj. Nie ryzykuj. Jakie ryzyko? Zsunęła się niżej.

Zamiast porwać małą w ramiona, musiała przeprowadzić metodyczny wywiad.

- Coś cię boli? Co?

- Noga. Ręka i noga. I mi zimno.

Angela błyskawicznie ściągnęła kurtkę, żeby okryć Aimee. Z zestawu pierwszej pomocy wyjęła termometr.

- Temperatura trzydzieści sześć i sześć - zameldowała.

- Masz termometr? - zdumiał się Mark.

- W zestawie pierwszej pomocy. Tętno sto dwadzieścia. Oddech czterdzieści. Trochę za dużo, ale okryłam ją kurtką. Dać jej pić?

- Nie, jeszcze nie.

Popatrzyła na nogi dziewczynki, ale nie zauważyła niczego prócz sińców i zadrapań, ale ramię...

- Tu cię boli? Aimee kiwnęła głową.

- Mam coś, co ci trochę pomoże. Ta moja bandana ma czarodziejską moc. Dlatego ją noszę. - Zdjęła chusteczkę z szyi i zawiązała ją Aimee na ramieniu. - Możesz ją zatrzymać tak długo, jak będzie ci pomagała.

Aimee się nie odezwała, ale bandana najwyraźniej od razu złagodziła ból, bo dziewczynka przestała płakać.

- Powiedz mi, czy boli cię brzuch?
- Nie, ale chce mi się jeść.
- Oj, to dopiero w szpitalu. Powiedz, co lubisz najbardziej, a ja to dla ciebie przygotuję.
- Kanapki z masłem fistaszkowym i z galaretką. I ciasteczka czekoladowe.
- Załatwione, ale najpierw musimy zapytać doktora Marka. - Poglądziła dziewczynkę po buzi. - Mark, ona mówi, że nic ją nie boli, ale ma złamaną rękę.
- I czarodziejską bandanę - dodała Aimee.
- Złamaną rękę owiniętą czarodziejską bandaną. I ma ochotę na kanapki z masłem fistaszkowym i ciasteczka czekoladowe.
- Niesamowite... - westchnął Eric, który wraz z dwudziestoma ratownikami stał nad szczeliną. Wszyscy gotowi wydobyć Aimee i Angelę na powierzchnię. - Na pewno nie kwalifikuje się na twoje szkolenie? Mam wrażenie...
- Wiedziałeś o tym od początku... - westchnął Mark.
- Ożeniłem się z jej siostrą. Podejrzewam, że to u nich dziedziczne, więc zapewne i tobie się poszczęści. Mogę już powitać cię w rodzinie?
- Mam dzwonić do Gabby, żeby zaczęła planować wasze wesele? - zapytał Neil.
- Może najpierw bym się jej oświadczył? Ale jak już je wyciągniemy.
- Ciepłej ci? - zapytał, podciągając jej koc pod brodę.

- Bardzo przyjemnie. Nie pamiętam, kiedy tak długo się wylegiwałam.

Minęło dwanaście godzin. Przez ten czas Mark był na każde skinienie Angeli, pilnował jej, gdy spała, zajmował się Sarah.

- Jak się ma Aimee?

- Świetnie. Ale nie pozwala zdjąć sobie czarodziejskiej bandany. Złamanie nie jest poważne. Podali jej płyny, ale zatrzymają ją na kilka dni, żeby mieć absolutną pewność, że wszystko jest w porządku.

- A matka?

- W areszcie. Zabrano ją do Salt Lake City na badania psychiatryczne. Stawił się ojciec Aimee. Odchodził od zmysłów, nie wiedząc, co się z nimi stało. Pani Landry ma jedynie prawo do odwiedzania córki, a przepadły dwa miesiące temu. Pan Landry na krok nie odstępował Aimee.

- Dobrze, że ma opiekuna. Czy on jest...?

- To porządny człowiek. I bezgranicznie wdzięczny za uratowanie córki. -  
Podał jej Sarah.

Dobrze było mieć pewność, że przez te wszystkie godziny, które przespała, Sarah znajdowała się pod jego opieką. Sarah za nim przepadała, a i on był w nią wpatrzony jak w obrazek.

- Przed chwilą odebrałam tajemniczy telefon od Gabby. - Odsunęła się, robiąc mu miejsce na łóżku.

- W jakiej sprawie?

- Wesela.

- Ach tak...

- Hm, moja serdeczna przyjaciółka organizuje mi wesele, a ja nie wiem o tym, że wychodzę za mąż. Podobno dziewczynki Dinah mają być druhnami i już się cieszą, że będą uczyły Sarah rzucać płatki róż. -Zwróciła się do córeczki, która szarpała Freda za ucho. - Maleńka, coś ci wiadomo o tym weselu? - Nie uzyskawszy odpowiedzi, przeniosła wzrok na Marka. - Czy dowiaduję się o tym ostatnia? Przygarnął ją do siebie.

- Hmm... Poruszyliśmy ten temat z Erikiem i Neilem, jak staliśmy nad tą szczeliną, czekając na ciebie i Aimee i...

- Tak sobie gawędziliście?

- Co miałem zrobić? Wrzasnąć: „Angela, wyjdiesz za mnie?” Uważałem, że wypada to zrobić w bardziej kameralnych okolicznościach.

- Wiem od Gabby, że Emoline już projektuje aranżacje kwiatowe, a Helen, matka Scotty'ego, obiecała, że nasze wesele będzie pierwszą imprezą w wyremontowanej sali balowej.

- Może faktycznie powinniśmy o tym porozmawiać, zanim o czymkolwiek wspomniałem kolegom, ale ty znasz White Elk lepiej niż ja i wiesz, jak oni we wszystko się angażują. To nie moja wina.

- Powtórz.

- Co?

- To, czego nie wykrzyczałeś do tej szczeliny w skale.

- Masz na myśli: Angela, wyjdiesz za mnie? Przytaknęła.

- Ładnie to brzmi, prawda? Czuję się taka... włączona. Powiedz mi, czy ktoś już wyznaczył datę naszego ślubu, czy sami mamy się tym zająć?

- Nie, data ślubu jeszcze nie jest znana, za to mamy już dom. Czekał, jak to było? Siostra Erica niedawno wyszła za mąż i kupili sobie dom, a my możemy zająć dom szwagra Erica. Podobno duży, idealny dla wielodzietnej rodziny.

- Szukałeś domu? Myślałam, że...

- Że wyjadę i zabiorę was ze sobą? Zwierzyłem ci się, że będę uciekał, dopóki nie znajdę tego, czego nawet nie potrafiłem zdefiniować. Mimo że nie była to miłość od pierwszego wejrzenia, wiem, że już to znalazłem.

- Jesteś zadowolony? Dużo o tym myślałam i doszłam do wniosku, że jeśli w dalszym ciągu czujesz potrzebę zmiany miejsca, nie miałabym nic przeciwko temu.

- Ale już niczego nie szukam. Znalazłem to tutaj. I tutaj mi się podoba.

- Sądzę, że Brad się zgodzi, żebyś ją adoptował, jeżeli masz to w planach.

- Brad to idiota. - Pocałował ją w czoło. - Oczywiście, że ją zaadoptuję. Kocham ją tak mocno jak ciebie, chociaż nie wiem, jak sobie z wami dwiema poradzę, a właściwie z całą trójką, bo pan Whetherby przeprowadza się do domu spokojnej starości, a tam nie pozwalają trzymać psów. To znaczy, że Fred będzie częścią naszej rodziny. Mam wielu przyjaciół w White Elk, którzy mi pomogą, zwłaszcza gdy...

- Zwłaszcza gdy...?

- Przybędzie nam jeszcze jedna albo dwie córeczki podobne do ciebie.

- Marzą ci się córeczki?

- Albo synowie. - Wyjął z kieszeni złożoną kartkę. - Ale to musi poczekać, bo to za duży wysiłek, a nie ma mowy, żeby w moich zajęciach uczestniczyła ciężarna.



- Co ma być za dużym wysiłkiem?

- Szkolenie. To jest plan twoich zajęć. Uznaliśmy, że zostaniemy w hotelu, zamiast robić wykłady w szpitalu, żeby twoje obowiązki związane z obozem nie kolidowały z kursem na ratownika.

- Ale myślałam... Podobno nie spełniam kryteriów.

- Miałaś przy sobie termometr i czarodziejską bandanę. Wiem teraz, że po prostu nie chciałem dostrzec twoich wrodzonych talentów, ale one są niezaprzeczalne. Na pewno się sprawdzisz w terenie, zwłaszcza jak będziesz miała dodatkowe lekcje.

Rozbawiona uniosła brwi.

- Znasz kogoś, kto zechce mi ich udzielić?

- Nie wyobrażaj sobie za dużo. Wkrótce się ożenię, jeśli kobieta, której się oświadczyłem, w końcu się zgodzi.

- Tak - wyszeptała.

- Taa... - odezwała się nagle Sarah.

- Tak, taa... - powtórzyła Angela głęboko wzruszona. - Szczęście to zadowolenie, miłość, satysfakcja, przyjemność, radość...

- Co czujesz?

- To wszystko. - Przytuliła się do niego, podczas gdy w nogach łóżka Sarah bawiła się z Fredem. - Wszystko naraz.

**Harlequin®**

***Drogie Czytelniczki!***

Każda z nas pod koniec starego roku postanawia, co zmienić z nastaniem nowego. My również .. wprowadzamy zmiany, mając nadzieję, że uatrakcyjnią one naszą ofertę.

W najbliższych tygodniach nowego roku 2012 wydania podwójne (**Romans Duo, Gorący Romans Duo, Medical Duo**) zamienią się w wydania pojedyncze. W zamian za to nowe tytuły pojawiać się będą w sprzedaży co dwa tygodnie.

W bardzo popularnej serii **Światowe Życie** wydania podwójne (Duo) w dalszym ciągu pozostaną w sprzedaży. Wszystkie tytuły w tej serii będą dostępne również co dwa tygodnie.

**Romans Historyczny** nadal będzie ukazywał się co dwa tygodnie.

Nowe tytuły w serii **Gwiazdy Romansu** ukazywać się będą tak jak dotychczas raz w miesiącu.

**Powieść Historyczna**, w odświeżonej szacie graficznej, począwszy od stycznia będzie pojawiać się w sprzedaży co dwa miesiące.

Szczegółowy plan wydawniczy jest dostępny na naszej, stronie internetowej [www.harlequin.pl](http://www.harlequin.pl)

: Z wyrazami szacunku ***Dorota, Szewczyhourska.***

Dyrektor ds. Sprzedaży i Marketingu

TLR